

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



4

(32) 2002

O zapomnianym zdroju i lwowskich lekarzach ♦ M. Ta-
szycka o wschodniomałopolskich tkaninach ♦ A. Rydło-
wa wspomina lwowską premierę „Wesela” ♦ Papież
w Krakowie i nowi Błogosławieni ♦ Następny odcinek
o Hausnerach ♦ Sylwetki ♦ Słownik ♦ Kronika ♦ Listy

CZAS UCIEKA

W tegorocznych numerach CL rozpoczęliśmy rozważania na dwa poważne tematy. Pierwszy to baczne obserwowanie, publikowanie i wyjaśnianie na łamach naszych *kresowych* czasopism (przynajmniej tych głównych) takich współczesnych wydarzeń i wypowiedzi – pozytywnych i negatywnych – które mają związek z problematyką Ziemi Wschodnich – w naszym przypadku Południowo-Wschodnich. Powstała bowiem paradoksalna sytuacja, że wśród Polaków, w tym także w środowiskach *kresowych*, pewne tematy są zupełnie nieznanne. Przykładem: próby (miejscami skuteczne) eliminacji języka polskiego z kościołów na tamtych ziemiach albo gorszące zachowanie niektórych działaczy, prywatnie itp. Pojawia się też cała masa dość *osobliwych* relacji i najróżniejszych komentarzy, pisanych przez publicystów typu Kuronia, Smoleńskiego, Cywińskiego, Wielowieyskiego czy jeszcze paru innych. Niektórzy biorą je za dobrą monetę.

Temat drugi to dokumentowanie historii – tego wycinka historii Polski i wschodniej Europy, w którym zawierają się dzieje i problemy zabranej nam naszej Małej Ojczyzny, na tyle zakłamywane i przekręcane, żeby mogły służyć obcym, długofalowym celom politycznym, nie odnoszącym się bynajmniej tylko do przeszłości (tu temat drugi zbiega się z pierwszym!). Jest więc owo wyjaśnianie historii niezbędne, by postrzeżać i rozumieć sprawy i wydarzenia całkiem współczesne. W tej dziedzinie niestety popełniono u nas wiele błędów, co było zrozumiałe, póki żyliśmy *pod jedynie słusznym kierownictwem ze Związkiem Radzieckim na czele*. Trudno to jednak zrozumieć w dniu dzisiejszym.

Mamy w Polsce, jak wszędzie i jak we wszystkich dziedzinach, ludzi o różnych orientacjach, o różnym widzeniu i rozumieniu świata, przyrody, dziejów ludzkich, sztuki, ekonomii i wszelkich innych dziedzin. Nie darmo powstawały i nadal powstają *szkoły* – wszyscy dążą do prawdy, ale każdy traktuje ją tak, jak mu dyktuje własna wiedza i sumienie (a czasem czynniki, o których wspominać nie wypada). Tak jest również wśród historyków. Jest wielu wspaniałych historyków, którzy sprawy nas interesujące widzą podobnie jak my, po polsku. Nie zawsze się jednak akurat nimi zajmują i wtedy powstaje niekorzystna dla nas luka. Lukę tę ktoś wypełnia... My powinniśmy na to zwrócić uwagę. Naszą rzeczą jest, by ów brak zainteresowania odwrócić. By odszukać odpowiednich ludzi, namówić, wyjaśnić problem, stworzyć platformę. Bo czas nam ucieka.

W ciągu kilkunastu lat nie doszło do zorganizowania sesji naukowej, któraby w sposób jasny i kompleksowy naświetliła związki naszej Ziemi, a w tym i naszego Miasta – z Zachodem, z kulturą i cywilizacją łańciskiej Europy. W roku 1990 rozpoczęliśmy, wydawało się, staranie o wszczęcie całego systemu studiów z intencją stworzenia prawdziwego obrazu naszych dziejów – sesją o źródłach, ocalałych w zasobach bibliotecznych, archiwalnych, muzealnych. Zjechało się wielu uczonych, ale wysłuchaliśmy referatów i – nic. Ani nie ukazało się żadne wydawnictwo (jedynie króciutka notatka w „Semper Fidelis” 4–5/90), ani nie podjęliśmy w sposób zorganizowany kontynuacji tych studiów. Nie postaraliśmy się o dokument *p r a w d y*, o który tylko my możemy się dobić. Inni mają inne sprawy na głowach (czy raczej: w głowach).

Czas ucieka, ale jeszcze trochę go pozostało. Nie zmarnujemy go. Nie ograniczamy się do skrajności: piosenek i martyrologii.

Od tych kilkunastu lat notujemy co prawda niemałą podaż prac naukowych na różne tematy, związane z Ziemią Wschodnią: o wydarzeniach politycznych i wojennych z kilku epok, o ludziach i instytucjach, o wszelkich sztukach i zabytkach, otrzymujemy mnóstwo wspomnień i relacji, a także utworów literackich (głównie poezji, gorzej z prozą). I wszystko to w różnych formach: książek, albumów, artykułów w prasie i czasopismach ogólnopolskich oraz *kresowych*, których dorobiliśmy się kilkudziesięciu, a nawet filmów telewizyjnych. Mogłoby to nas zadowalać, choć – jak już wcześniej zauważyliśmy – pozostaje w niejkiej proporcji do produkcji naukowej, publicystycznej, literackiej czy wspomnieniowej na temat analogicznych małych ojczyzn w obrębie Polski powojennej (i to bez względu na okres polityczny mniowanego sześćdziesięciolecia). Mogłoby, ale...

Brakuje jednak spraw najważniejszych.

(dokończenie na III stronie okładki)

FELIETON W KOLORACH CZERWIENI I BRĄZU

U progu zimy drzewa okrywają się purpurą, jakby chcąc ukazać swoją wspaniałość, zanim opadną z nich liście, spod których wyjrzy szarobrunatna barwa kory. Te dwa kolory, czerwień i brąz, były nam zawsze bliskie – oznaczały nadejście zimowej bieli, a wraz z nią radość świętowania Bożego Narodzenia, spokój i ciszę pokrytych śniegiem pól.

Ale oto nagle te dwa kolory stały się dla nas synonimami dwóch strasznych ustrojów totalitarnych, niosących ze sobą zniszczenie i śmierć. Uciekając przed jednym, dostawaliśmy się w ręce drugiego i oba zakuwały nas w swoje potężne okowy, zdawałoby się bez wyjścia. Zagarniały nas szybko w swoje śmiertelne uściski, jakby śpiesząc się, ażeby najszybciej usunąć ze swej drogi wszystko, co mogłoby się oprzeć ich potędze. Oba zostały potępione i oba zawały się pod ciężarem swojej własnej nienawiści. W pamięci naszego pokolenia pozostały na zawsze symbolem straszego zła. Trudno, ale my wszyscy, którzy przeżyliśmy – a raczej szczęśliwie udało się nam przeżyć te straszne czasy – nie możemy o nich zapomnieć.

Ale czy będą pamiętali ci przychodzący po nas? Czy potrafią wyciągnąć wnioski z tego, co myśmy przeżyli? Przyszłość, jak twierdzą mądrzy ludzie, zawsze jest zagadkowa i nieprzewidywalna. I kiedy każdego roku jesienno-zimową porą wspominamy ten okrutny czas, czerwień i brąz przypominają nam czas żałoby po bliskich nam ludziach, którym nie dane było ujrzeć wyzwolenia spod dławiącego ich ciężaru.

Barbara Czałczyńska

**Naszym Czytelnikom, Autorom,
Dobrodziejom i Przyjaciołom
z okazji nadchodzących Świąt Bożego
Narodzenia oraz Nowego Roku 2003
składamy serdeczne życzenia
zdrowia, pomysłowości
oraz wszelkich Łask Bożych.
Niech Kraj nasz i cały Świat
zmierzają ku lepszej przyszłości.
Niech wszyscy Polacy
– gdziekolwiek żyją
– nie tracą nadziei.
O to się módlmy.**



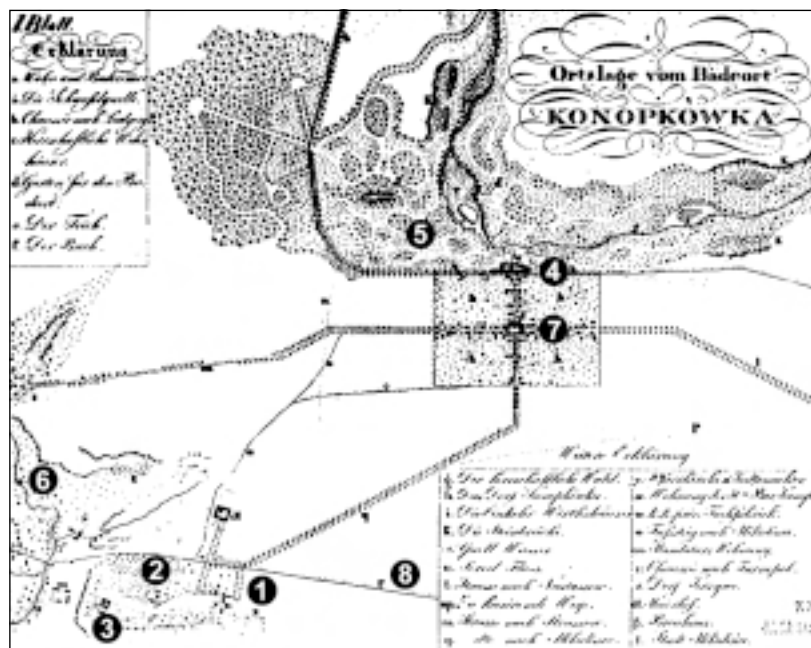
Zapomniany źródł

Autor niniejszej opowieści opublikował przed laty na łamach „Semper Fidelis” serię czterech artykułów o wschodniomałopolskich uzdrowiskach. W pierwszym, zatytułowanym *Truskawiec i inne* (SF 4/91), scharakteryzował z a g ł ę b i e leczniczo-rekreacyjne, jakim była cała Małopolska Wschodnia, a szczególnie jej południowa i zachodnia część, a także omówił rolę Lwowa w rozwoju zdrojownictwa polskiego. W drugim pt. *Perła uzdrowisk wschodniomałopolskich* (SF 2/92) opisał – zgodnie z tytułem serii – jedno z głównych (obok Krynicy i Ciechocinka) zdrojowisk polskich – Truskawiec. Trzeci odcinek omawiał *Lubień Wielki, Morszyn, Niemirów* (SF 1/93). W czwartym, zatytułowanym *Od Szklä do Kosowa* (SF 4/93) – oprócz wymienionych w tytule – opisano podlwowskie Pustomyty, karpackie Delatyn i Burkut oraz kilka jeszcze innych mniej ważnych miejscowości.

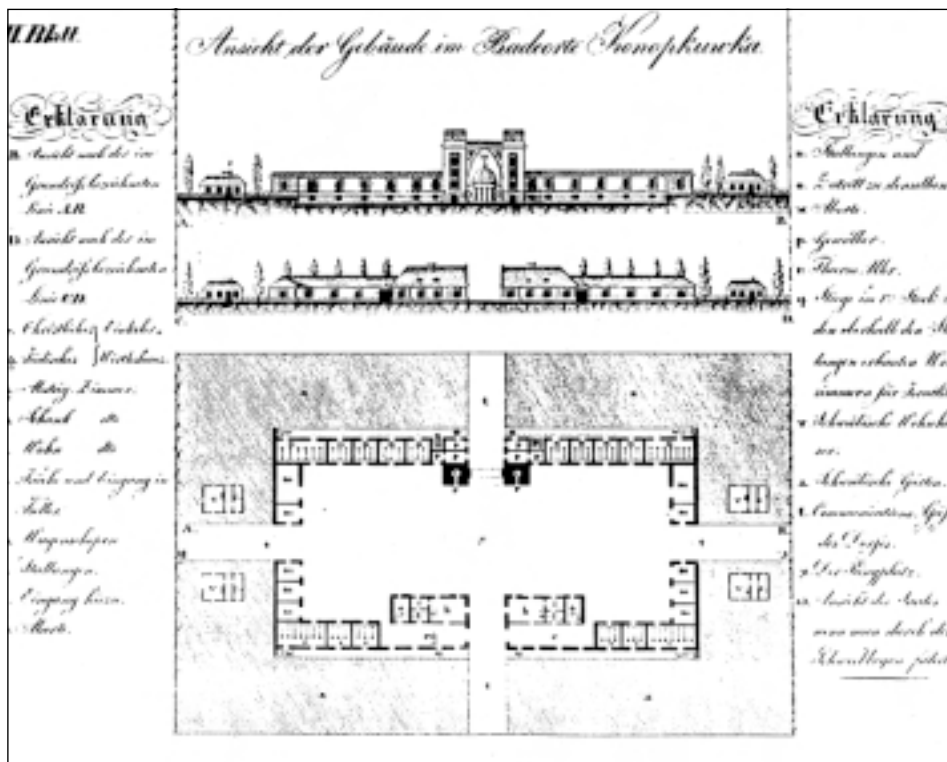
Poniżej przedstawiamy źródł całkiem już dziś nieznaną: Konopkówkę. Przypomnienie tej nazwy, a także nazwiska jej twórcy powinno mieć znaczenie dla dziejów polskiego zdrojownictwa.

Konopkówka to właściwie Mikulińce, miasteczko leżące przy drodze z Tarnopola na południe, w stronę Trembowli, Czortkowa, Zaleszczyk. Przypomnijmy – pisaliśmy o tym we wspomnianych wyżej artykułach – że XVI-wieczny lekarz polski Wojciech Oczko w swych medycznych dziełach wymienia Mikulińce wśród sześciu renomowa-

nych krajowych zdrojów mineralnych, obok Drużbaków na Spiszu (w owym czasie związanym z Polską), Iwonicza, podlwowskiego Lubienia i Szklä oraz podkrakowskich Swoszowic. Biło tam (i chyba dalej bije, ale z dużo mniejszym natężeniem) źródło wody siarczanej, zlokalizowane po zachodniej stronie miasteczka, na terenie folwarku Wola



Plan sytuacyjny projektowanego zdrojowiska w Konopkówce. Po lewej stronie u dołu fragment miasteczka Mikulińce: 1 – kościół, 2 – pałac Konopków, 3 – stary zamek. W centrum rysunku założenie Konopkówki: 4 – dom zdrojowy (pensjonat i lazienki), 5 – park zdrojowy, 6 – wieś, 7 – rynek. U dołu w prawo droga do Tarnopola (8).



Rynek Konopkówki – plan i widok dłuższych pierzei. Wyraźnie widoczny „łuk triumfalny”, a w jego przeszwicie na dalszym planie dom zdrojowy z kopułą. U góry planu i u dołu stoją (n, s), po lewej i po prawej wozownie (m).

Krzywicka. Dobra mikulinieckie należały wtedy do hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego, wcześniej do Sieniawskich, Jordanów i Zborowskich. W XVII w. właścicielem był Michał Zebrzydowski, później znowu Sieniawscy, Lubomirscy, Potoccy i Mniszchowie. Nad Mikulińcami przetaczały się różne burze dziejowe – jest to przecież ten pas Podola, który przez wieki bronił Polski i Europy przed islamskim zalewem – a tamtejszy zamek (z którego do naszego wieku przetrwały zaledwie kamienne ruiny) to niszczone, to odbudowywano. W okresach spokojnych przyjezdni kuracjusze korzystali z dobroczynności mikulinieckiego źródła, zalecanego przez doktora Oczkę.

Nadszedł przełom wieków XVIII/XIX, który rozpoczął nowoczesną epokę świadomego wykorzystywania postępu naukowego, technicznego i ekonomicznego. Na naszych ziemiach początek ery postępu zbiegł się z rozbiorami, co oznacza z jednej strony klęskę narodu i jego aspiracji, z drugiej niewątpliwe uspokojenie: skończyły się wojny, zaczęło się poszukiwanie no-

wych sposobów utrzymania się i bogacenia – dla przetrwania.

Przenieśmy się na chwilę na przeciwny koniec nowo kreowanej Galicji. Pod Krakowem żyła od dawna gałąź szeroko rozmnożonej, drobnoszlacheckiej rodziny Konopków herbu Nowina. Dwóch braci Konopków z końcem XVIII wieku dorobiło się na wielkich salinach fortuny, a także dziedzicznego tytułu baronowskiego, nadanego im przez austriackiego cesarza (1791). Jeden z nich, Piotr, odkupił od Mniszchów dalekie Mikulińce, a potem, w 1801 r. przekazał je swojemu synowi, Janowi.

Jan Konopka (1773–1843) okazał się gospodarzem wielkiego formatu. Do swych nowych majątności zabrał się z energią i pomysłowością godną ery rodzącego się kapitalizmu. Z drobnostw inwentarza przypadło mu znane od trzech niemal wieków źródło siarczane, postanowił więc w Mikulińcach stworzyć uzdrowisko z prawdziwego zdarzenia. Wolę Krzywicką, gdzie biło źródło, położoną w odległości 2 km od centrum miasteczka, przemianował na Konopkówkę, zakładając tu w 1821 r. prawdziwy

zakład kąpielowy. Wybudował łaźienki, dom zdrojowy i inne budynki, ale plany były o wiele szersze.

Zaprojektowano więc ambitny zespół urbanistyczno-architektoniczny o niezwykle ciekawym, wielofunkcyjnym programie. Plan Konopkówek został oparty na dwóch krzyżujących się ulicach, których punkt przecięcia miał stanowić prostokątny plac – rynek, o wymiarach ok. 100 × 45 metrów. Plac ten miał być wokół harmonijnie obudowany budynkami o charakterze pomocniczym: stajniami i wozowniami dla ekipaży majątniejszych gości; miały być także dwie gospody: osobne dla chrześcijan i izraelitów. Na poddaszach wszystkich budynków otaczających rynek miały mieścić się tańsze kwatery dla skromniejszych kuracjuszy.

Główna oś rynku została zaakcentowana łukiem triumfalnym z gotyckim sklepieniem, a biegnąca pod nim aleja celowała wprost na kopulasty pawilon, który stanowić miał centralny punkt pryncypalnej budowli zdrojowej, składającej się z dwóch części: piętrowej, mieszkalnej od frontu oraz

ści – łaźienek z tyłu. Tuż za łaźienkami znajdowało się źródło siarczane (dlatego tutaj cały ten zespół zlokalizowano), przy nim zaś urządzenia do pompowania i podgrzewania wody. W każdej z 37 kabin łaźniowych przewidywano dwie wanny, liczone więc na spory napływ gości.

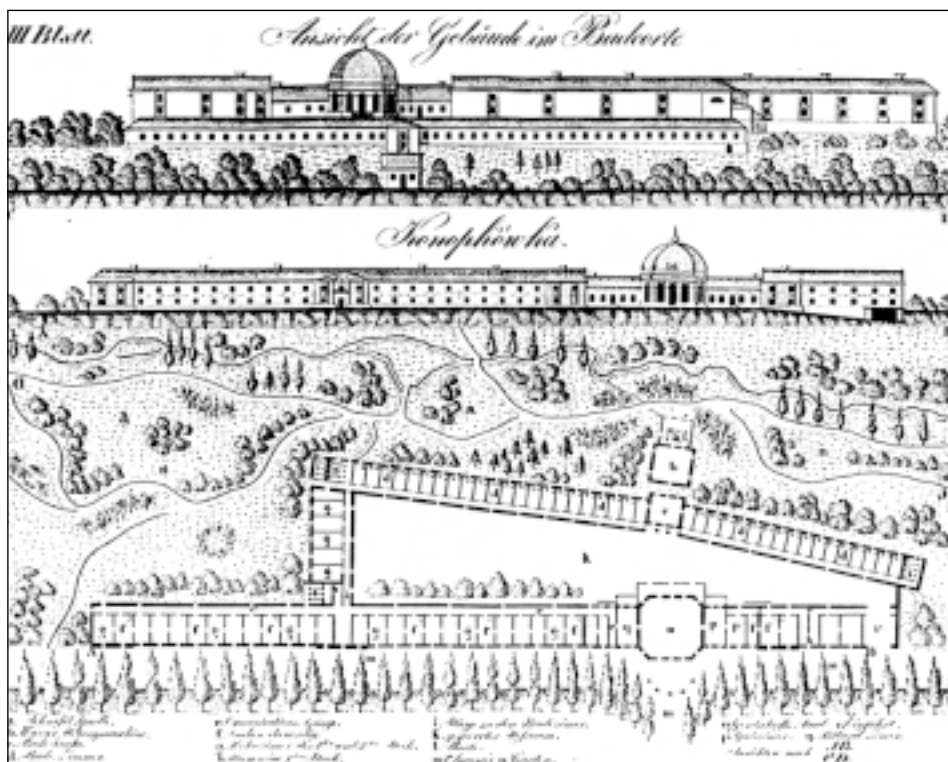
Frontowy budynek mieszkalny zawierał jednostronny ciąg pokoi i kucheni (na obu kondygnacjach), z czego wynika, iż zakładano, że „lepsi” goście będą przyjeżdżać ze służbą i korzystać z własnego wikt. We wspomnianym pawilonie z kopułą znajdowała się *sala towarzyska*, a więc przeznaczona na spotkania, bale lub koncerty.

Za głównym budynkiem zdrojowym rozciągał się rozległy park ze strumieniem, będący zapewne adaptowanym do tego celu lasem. Romantycznej atrakcyjności dodawały mu dawne kamieniołomy.

Trzeba jeszcze dodać, że obie krzyżujące się na rynku ulice miały być poza nim obustronnie obudowane *szwabskimi domami*. Skąd ta nazwa? Otóż Jan Konopka miał

(dokończenie na s. 62)

Dom zdrojowy – rzut i widoki. Proste skrzydło u dołu to pensjonat (mieszkania dla kuracjuszy - pokój z kuchnią), o – sala towarzyska. Skrzydło ukośne – łaźienki, e, b – urządzenia techniczne; a – źródło.



W tym numerze, zgodnie z zapowiedzią, zamieszczamy kilka wspomnień o lwowskich lekarzach – paru spośród bardzo wielu, którzy ze Lwowa przez dziesięciolecia uczynili jeden z najważniejszych ośrodków polskiej medycyny, a po II wojnie, pomimo tragicznych strat, budowali fundamenty wszystkich centrów naukowych medycyny w Polsce – Krakowa nie wyłączając – a także wielu prowincjonalnych ośrodków lecznictwa.

Jako pierwsze przedstawiamy wspomnienie o dr. med. Tadeuszu Chomickim. Autorka, jego córka, pisze dużo o lwowskich profesorach, a także o kolegach swego ojca, którzy po ekspatriacji rozeszli się po całym nowym kraju.

Alina Chomicka

Zawsze dla dobra chorego

W 15. rocznicę śmierci dra Tadeusza Chomickiego

Tadeusz Chomicki urodził się w 1899 r. w Stryju, gimnazjum ukończył w Przemyślu, a studia medyczne podjął na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W 1919 r. jako medyk II roku został przeszkolony na kursie medycyny wojskowej pod kierunkiem komendanta kursu dra Lesława Węgrzynowskiego. Jako lekarz batalionu został skierowany na front wschodni, gdzie żołnierze ciężko zapadali na zdrowiu – przyczyniały się do tego ciężkie warunki bojowe, ale i woda, którą pili z napotkanych studni.

W 1920 r. pod Żytomierzem Chomicki ciężko zachorował na tyfus brzuszny i na skutek wysokiej gorączki stracił przytomność. Dzięki pomocy frontowego kolegi, J. Łopuszańskiego – późniejszego profesora biologii we Lwowie – został wraz z innymi rannymi i chorymi odwieziony do szpitala polowego, unikając dzięki temu niewoli bolszewickiej armii Budionnego.

Po zakończeniu wojny wrócił na studia i ukończył je w 1926 r. Profesorowie Wydziału Lekarskiego UJK byli znakomitościami naukowymi, nierzadko w skali europejskiej, a jednocześnie przyjacielscy wobec młodzieży. Anatomię wykładali profesorowie Markowski i Różycki, uczniowie słynnego prof. Kadyiego, histologię prof. Szymonowicz, fizykę prof. Negrusz, a biochemię prof. Parnas. Anatomię patologiczną wykleadał prof. Nowicki (zamordowany w czasie II wojny przez gestapo wraz z żoną i synem). Farmakologię wykleadał prof. Koskowski, interny nauczali profesorowie Rencki i Czerniecki.

Znakomitym pediatrą był prof. Groër, uczeń i współpracownik prof. Pirqueta z Wiednia. Wykłady Groëra były błyskotliwe, sam profesor był poliglotą oraz fotografikiem, a jego zdjęcia uzyskiwały nagrody na międzynarodowych konkursach. Był wykształcony muzycznie, a kierowana przez niego przez dwa lata Opera Lwowska osiągnęła wysoki poziom artystyczny. Ponadto prof. Groër zmodernizował lwowską klinikę dziecięcą i wzorem Wiednia zorganizował szkołę pielęgniarek pediatrycznych (o prof. Groërze pisaliśmy w CL 3–4/95). Wykłady z położnictwa i ginekologii prowadził prof. Bocheński, który wychował wiele pokoleń lekarskich i zawsze był pełen życzliwego humoru. Po przymusowym wyjeździe ze Lwowa wykładał przez kilka lat we Wrocławiu, mimo że osiągnął 80 lat życia.

Tadeusz Chomicki miał jeszcze możliwość słuchania wykładów słynnego chirurga, prof. Ludwika Rydygiera, którego sposoby operacji żołądka, zwłaszcza wycięcie odźwiernika, dotąd są w Europie stosowane. Po Rydygierze katedrę objął prof. Schramm.

Dr T. Chomicki rozpoczął pracę w 1929 r. na oddziale chirurgicznym, kierowanym przez prof. Tadeusza Ostrowskiego. Był to znakomity chirurg, wzywany do operacji i konsultacji z różnych stolic europejskich. W 1941 r. został wraz z żoną zamordowany przez gestapo na Wzgórzach Wuleckich razem z innymi profesorami lwowskimi. Ostrowski był bardzo wymagający, na oddziale panowała ostra dyscyplina. Z jego szkoły wyszli tak

znakomici chirurdzy jak profesorowie Bross, Czyżewski, Jezioro, Jacyna-Onyszkiewicz. Oddział ten był ponadto prawdziwą wylegarnią znakomitych dyrektorów szpitali w Polsce południowo-wschodniej. Dyrektor musiał być wtedy nie tylko sprawnym organizatorem pracy szpitala, ale zarazem dobrym specjalistą w zakresie paru specjalności. Najbardziej nawet skompikowanych przypadków chorobowych nie mógł odsyłać do większych ośrodków, bo nie było przecież helikopterów, samolotów sanitarnych, a komunikacja samochodowa była jeszcze bardzo słaba. W tej więc samodzielnej pracy wartości nabierały wiadomości zdobyte w czasie stażu i specjalizacji na oddziale chirurgii.

Prymariuszami, czyli ordynatorami oddziałów w Szpitalu Powszechnym we Lwowie byli przeważnie profesorowie lub docenci. Znakomity prof. Domaszewicz prowadził oddział neurologii i psychiatrii, gdzie chirurdzy dokonywali nieraz trepanacji czaszki. Domaszewicz był jakby prekursorem neurochirurgii polskiej. Docent Stanisław Ostrowski był prymariuszem na oddziale skórno-wenerologicznym, a jednocześnie – do wybuchu II wojny – prezydentem miasta Lwowa. W czasie wojny znalazł się w Wielkiej Brytanii i po prezydencie Raczkiewiczzu został emigracyjnym prezydentem RP. Prof. Ziembicki poświęcił się historii medycyny, a jego współpracownik dr Ignatowicz był znany w środowisku lwowskim jako napastnik klubu piłkarskiego „Pogoń”. Innym graczem tej drużyny był chirurg dr Garbień.

Wielu kolegów ojca z lwowskiego Szpitala Powszechnego objęło po II wojnie światowej katedry w swoich specjalnościach.

Otolaryngolodzy prof. Ceypek i dr Danielewicz – w Warszawie, prof. Spett po prof. Brzezickim klinikę psychiatrii, a jego żona prof. Janczyszyn-Spettowa – radiologii, w Krakowie. We Wrocławiu prof. Albert objął katedrę anatomii patologicznej (*artykuł o nim także w tym numerze – przyp. red.*), a prof. Arend klinikę neurologii. Taką samą klinikę w Lublinie objął prof. Stein. Koledzy chirurdzy zostali dyrektorami szpitali: w Bochni dr Kuśnierczyk, w Stanisławowie dr Kochaj, w Krynicy dr Śmieszek, w Jeleniej Górze dr Rolski, w Zamościu dr Onyszkiewicz, w Sokalu dr Pelech, a w Tomaszowie dr Peter. Jak prężny i twórczy był ośrodek uniwersytecki we Lwowie świadczy fakt, iż po II wojnie światowej wypełnił swymi uczonymi i fachowcami uniwersytety we Wrocławiu, Zabrze, Gdańsku, Lublinie, a także w Warszawie Krakowie i w wielu innych miastach Polski.

W 1934 r. rodzice zakupili w jednej z najpiękniejszych dzielnic Lwowa, przy ul. św. Zofii 58, niedaleko Parku Stryjskiego i Targów Wschodnich – obszerną, piętrową willę. Dom był otoczony dużym kwiatowym ogrodem, z sadem w głębi.

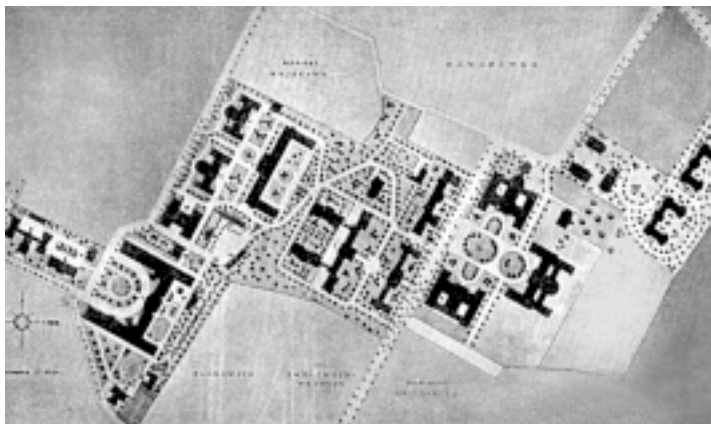
W 1938 r. zmarł nagle na serce chirurg, dyrektor szpitala w Samborze. Ojciec został tam oddelegowany z Kliniki Chirurgicznej we Lwowie na okres dwóch lat. Miał w tym czasie przeszkolić swego sekundariusza, młodego chirurga, i powrócić do Lwowa.

Nadszedł słoneczny, a jednocześnie tragiczny dla naszego narodu wrzesień 1939 roku. Armia sowiecka wkroczyła do Lwowa i do Sambora. Zaczęły się liczne aresztowania i deportacje ludności polskiej. Zachęco-

Plan dzielnicy klinicznej UJK na Łyczakowie, stan projektowany i zrealizowany w końcu XIX w.

1. Szpital Powszechny u zbiegu ulic Pijarów i Głowińskiego,
2. Szpitalik św Zofii (dziecięcy),
3. Klinika Dziecięca, 4. Klinika Interny,
5. Klinika Chirurgii, 6. Instytut Ginekologii i Położnictwa,
9. Klinika Dermatologii, 10. Klinika Chorób Zakaźnych;

Zakłady medyczo-teoretyczne przy ul. Piekarskiej: 11. Instytut Patologii, 12. Instytut Fizjologii, 13. Instytut Chemii (zdjęcia na s. 9), 14. Kuchnia i pralnia, 15 i 16. obiekty niezrealizowane.



na sukcesami w zajmowaniu naszych ziem, armia sowiecka zaatakowała Finlandię. Tu spotkała się jednak z bohaterskim oporem Finów, którzy w sposób bezwzględny i rozpaczliwy bronili swojej niepodległości. Polscy chirurdzy stali się wtedy bardzo potrzebni, co opóźniło deportacje ich i ich rodzin. Gdy tylko sowieci zawarli pokój z Finlandią i walki ustały, natychmiast zintensyfikowali wywózki ludności polskiej w głąb Rosji. Zaprzyjaźniony lekarz sowiecki uprzedził o nakazie deportacji, co spowodowało ucieczkę dra Chomickiego z rodziną przez tzw. zieloną granicę. W ucieczce pomogła rodzina kolejarska z Sambora, którą ojciec uprzednio leczył.

Szpital w Przemyślu był zajęty przez wojsko niemieckie, więc dr Chomicki nie chciał i nie próbował podejmować tam pracy. Osiedlił się w osadzie Gorzków w powiecie krasnostawskim. Pracował tam bardzo ciężko, rozpoczynał o 5 czy 6 rano, ponieważ już o świcie przyjeżdżały furmanki z chorymi. Często wzywano go do porodów – jeździł tam wozem lub saniami, nieraz 15–20 km. Wracał bardzo zmęczony, ale nie mógł wypocząć, bo pod jego nieobecność gromadzili się następni chorzy i cierpliwie czekali na jego powrót.

Na ziemi lubelskiej wzrastał ruch oporu, powstawały regularne oddziały AK, BCh i AL. Oddziały partyzanckie podejmowały bohaterskie akcje, a po nich byli zawsze ranni, których do szpitala nie można było oddawać, ponieważ byli tam Niemcy. Dr Chomicki jako doświadczony chirurg służył im zawsze w dzień i w nocy pomocą, jeżdżąc często do lasów, operując w warunkach polowych, zakładając i zmieniając opatrunki. Tak też uratował życie ciężko rannej w brzuch spadochroniarce rosyjskiej. Pielęgnował ją przez kilka tygodni i mimo krytycznego stanu przetrwała.

Po wyzwoleniu tamtych terenów wydział zdrowia w Lublinie zaproponował Chomickiemu przeniesienie na stanowisko dyrektora szpitala w Szczepieszynie. W szpitalu mógł dokonywać większych operacji, do których był świetnie przygotowany w lwowskiej uczelni.

Po zakończeniu wojny wiele krajów Europy Zachodniej cieszyło się zwycięstwem, ale w Polsce trwały jeszcze walki. Niektóre oddziały AK pozostawały w lasach, widząc że rozbrojeni żołnierze są więzieni i wywożeni w głąb Rosji. Walki w Zamojskiem też trwały, a rannych przywożono do szpitala. Doktor



Chomicki cieszył się zaufaniem miejscowego społeczeństwa. Dokonywał skomplikowanych operacji, z którymi dawniej chorzy musieli się zwracać o pomoc do Lublina lub Zamościa. Często pozostawał w szpitalu na noc.

Pewnego dnia w godzinach popołudniowych, po ukończeniu ciężkiej operacji sala została zablokowana przez funkcjonariuszy UB i dr Chomicki aresztowany. Przewieziono go do Zamościa i osadzono w piwnicach Urzędu pod zarzutem udzielenia pomocy lekarskiej ranym żołnierzom AK, którzy się dotąd nie ujawnili. Po kilku miesiącach śledztwa został zabrany do Lublina i umieszczony w ciężkim więzieniu w Zamku. Mieszkańcy Szczepieszyna podpisali petycję domagając się zwolnienia Doktora z więzienia; do sądu wojskowego wpłynęły liczne listy b. partyzantów AL, a też spadochroniarce rosyjskiej oraz listy od ratowanych i żywnionych, z narażeniem życia, rodzin żydowskich. Zapewne te interwencje spowodowały uniewinnienie dra Chomickiego i po dwóch latach wyszedł na wolność. Jego zdrowie było w złym stanie, cierpiał na okresowe żółtaczki mechaniczne, stałe drżenie dłoni, co uniemożliwiało powrót do pracy chirurga. Jednak, mimo nienajlepszego stanu zdrowia, rozpoczął pracę w DOKP w Lublinie jako lekarz rejonowy. Przyjmował setki chorych, objeżdżał rozległy teren drezyną, wizytując swych pacjentów daleko poza Lublinem. Był za to wszystko ogromnie szanowany wśród kolegów i podopiecznych. Został uhonorowany wysokimi odznaczeniami państwowymi i wojskowymi.

Doktor Tadeusz Chomicki był lekarzem, dla którego dobro chorego, niezależnie od narodowości i opcji politycznej, było najwyższym prawem. Wielokrotnie udzielał pomocy lekarskiej z narażeniem życia, nie szczędząc sił i umiejętności. Zmarł w 1987 roku.

Tytuł pochodzi od redakcji. Dokonano skrótów.

Jerzy Górski

Wspomnienie o profesorze Gorczyńskim

Na wstępie mrożące krew w żyłach osobiste wspomnienie: kiedy miałem cztery czy pięć lat, zaprowadzono mnie na ulicę Łąckiego, do znajomego pana doktora Gorczyńskiego, a on wyrwał mi zęba! Gdy było po wszystkim, zerwałem się z fotela i z furją zagroziłem mu, że go zabiję, bo w domu mam szablę i karabin. Wydarzenie to przypominał mi Profesor z rozrzewnieniem jeszcze po kilku, kilkunastu, a wreszcie po kilkudziesięciu latach, najpierw przy okazji częstych wizyt w jego gabinecie we Lwowie – w czasie wojny przy ulicy Marii Magdaleny (tuż przy Szkole), albo od czasu do czasu u wspólnego przyjaciela jego i mojej rodziny dra W. Czerneckiego przy ul. Bielowskiego. Potem przy rzadszych wizytach w Krakowie. A wreszcie całkiem sporadycznych, gdy zamieszkał we Wrocławiu.

Profesora Gorczyńskiego darzę serdeczną pamięcią.

Nie był lwowianinem z pochodzenia, urodził się na Podolu zwanym wtedy rosyjskim. Ale i nie stamtąd jego rodzina się wywodziła. Dziadek Henryka miał majątek ziemski w powiecie skałackim na Podolu tarnopolskim (gmina Bucyki). W czasie rzezi galicyjskiej uciekł wraz z żoną i małym synem pod zabór carski – nie tracąc wszakże



poddaństwa austriackiego. Tam, po stracie pierwszej żony – ożeniwszy się po raz wtóry – zamieszkał w majątku drugiej. Jego syn, po latach, wygrał na loterii *ambo-terno* 2 tysiące rubli i za to nabył własny majątek. Ożenił się z panną Choromańską, której ojciec utracił swój majątek za udział w Powstaniu Styczniowym.

Tamże, w Sokołowce, w 1889 r. przyszedł na świat i wychował się Henryk Gorczyński. Po maturze zdanej w Odessie, jako obywatel austriacki wyjechał do Lwowa i podjął tam studia medyczne. Niestety przed samym dyplomem w 1914 r. wybuch I wojny światowej spowodował przerwę – jako *jednoroczny ochotnik* został powołany do armii austriackiej. Szczęśliwie, dzięki poparciu dziekana lwowskiej Medycyny, pozwolono mu na zdanie ostatnich egzaminów na Uniwersytecie Karola w Pradze. Tam też uzyskał dyplom.

Już jako lekarz pułku najpierw węgierskiego, potem austriackiego przeszedł różne szlaki bojowe. Jeden z nich zawiódł go do Stryja i tam poznał swoją przyszłą żonę, Józefę Stefanję Reif. Z rodziną w Rosji nie mógł się kontaktować, odczuwał to boleśnie. We wrześniu 1918 r. przeszedł do armii polskiej i dostał przydział do szpitala wojskowego w Lublinie. Stamtąd wyreklamował go i zatrudnił jako asystenta, potem adiunkta, w swojej klinice Instytutu Dentystrycznego UJK we

B. adjunkt i st. asystent Uniwersytetu J. K.
we Lwowie
Dr. HENRYK GORCZYŃSKI
STOMATOLOG
Lwów, ul. Łąckiego 4, parter
Tel. 275-20
ordynuje od 10–1 i od 3–5 popł.

Lwowie prof. Antoni Cieszyński. W 1925 r. objął kierownictwo Akademickiej Opieki Zdrowotnej Uniwersytetu. Przez szereg lat był naukowym sekretarzem Związku Stomatologów Izby Lekarskiej we Lwowie. Brał czynny udział w pracach towarzystw naukowych i redakcjach fachowych czasopism.

Równocześnie podjął praktykę prywatną – najpierw w swym mieszkaniu przy ul. Marii Magdaleny 3, potem w osobnym gabinecie przy Łąckiego 4, a w czasie II wojny znowu w mieszkaniu. Miał bardzo liczną klientelę, także dzieci, które po wizycie częstował czekoladkami. Był pracowity, przyjmował pacjentów od 9 rano do 7 wieczorem, z dwugodzinną przerwą obiadową.

Był oddany najbliższym, miał głębokie poczucie wspólnoty rodzinnej. Wolny czas poświęcał dzieciom, synowi i córce, z którymi zwiedzał miasto i okolice, Targi Wschodnie i Panoramę Raclawicką, prowadził do kina i teatru. W czasie II wojny pomagał uciekinierom, wysyłał paczki wywiezionym.

Ogromnie przeżył stratę syna Zbigniewa, studenta medycyny UJK, który w kwietniu 1940 r. w drodze na Węgry został pojmany przez NKWD, był w więzieniu w Stryju, potem przepadł bez wieści. Córka Krystyna, dr medycyny, mieszka w Warszawie.

Rodzina Gorczyńskich została ekspatriowana ze Lwowa w czerwcu 1946 r., zatrzymując się zrazu w Krakowie. W 1948 r. dr Gorczyński przeszedł do Wrocławia, gdzie na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu objął dwie katedry, Protetyki i Ortodoncji, organizując je od podstaw. W latach 1950–60 był dyrektorem Oddziału Stomatologicznego AM. W 1960 r. odszedł na emeryturę, ale był czynny nadal: prowadził przewody doktorskie, pozostawał w serdecznym kontakcie ze swymi byłymi uczniami. W 1966 r. rodzina przeniosiła się do Warszawy. Tam Profesor zmarł i został pochowany na Powązkach.

* * *

Współpracownica Profesora napisała we wspomnieniu pośmiertnym (z małymi skrótami):

Zainteresowania naukowe Profesora Gorczyńskiego były bardzo różnorodne, o czym świadczy tematyka Jego publikacji własnych i wspólnych z pracownikami,

(dokończenie na s. 18)



Zakłady medyczno-teoretyczne Wydziału Lekarskiego UJK we Lwowie przy ul. Piekarskiej

Michał Jeleń

UCZONY I DOKUMENTATOR ZBRODNI

Wspomnienie o prof. Zygmuncie Albercie – w rok po śmierci

Poniższy tekst zaczerpnęliśmy (ze skrótami) z „Gazety Lekarskiej” (Warszawa) nr 11, 2001. Tytuł pochodzi od Redakcji CL.

Profesor Zygmunt Albert urodził się w 1908 r. w Turce. Studia lekarskie ukończył na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Pracę naukową jako doktorant i asystent-wolontariusz w Zakładzie Anatomii Patologicznej tego uniwersytetu, kierowanym przez prof. Witolda Nowickiego, podjął w 1934 r.

W początkach pracy naukowej Zygmunt Albert interesował się głównie chorobami układu krążenia. Zainteresowania te zaowocowały dysertacją doktorską i na jej podstawie w 1935 r. zdobył stopień naukowy doktora medycyny. Rozwijając te zainteresowania, już wtedy, we wczesnym okresie lwowskim, dr Albert zainteresował się onkologią i te dwa nurty badawcze towarzyszyć mu będą przez całe życie naukowe. W październiku 1939 r. uzyskał *veniam legendi* [prawo wykładania na wyższych uczelniach, przyznawane dawniej jedynie na podstawie habilitacji – przyp. red.] z anatomii patologicznej na Wydziale Lekarskim UJK we Lwowie.

W tragicznych latach wojny i pierwszych dwóch okupacji, sowieckiej i niemieckiej, doc. Albert znajdował ucieczkę w pracy naukowej; nie załamał go tragiczny los kierownika zakładu prof. Witolda Nowickiego, który wraz z grupą profesorów lwowskich wyższych uczelni został rozstrzelany przez hitlerowców. Natychmiast po tym tragicznym wydarzeniu przystąpił do zbierania wszelkich informacji, materiałów i dokumentów oraz o s o b i ś c i e przeprowadził dochodzenie na terenie kaźni. Zebrane fakty opublikował po wojnie w artykule pt. *Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie w lipcu 1941 r.* Opracowanie to ukazało się w 1964 r. w oświęcimskim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego”.

Lata wojny nie oszczędziły Profesorowi wielu ciężkich przeżyć, w tym pobytu w gestapowskim więzieniu. Lwów opuścił w grudniu 1945 r. – przyjechał do Wrocławia na wezwanie prof. Ludwika Hirszfelda, ówczesnego dziekana tamtejszego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu i Politechniki, i tutaj objął kierownictwo Katedry i Zakładu Anatomii Patologicznej.

W 1947 r. otrzymał zatwierdzenie na stanowisku profesora nadzwyczajnego, a nieco później – zwyczajnego. W tamtych latach, kierując swoim zakładem, był jednocześnie kierownikiem Zakładu Onkologii Eksperymentalnej w Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN we Wrocławiu. Prof. Albert był polskim pionierem badań z zakresu onkologii eksperymentalnej. [...]

Pod jego kierownictwem wyspecjalizowało się kilkunastu patologów. Promował około 20 doktorów, był patronem trzech przewodów habilitacyjnych.

Bogata działalność naukowa i dydaktyczno-wychowawcza Profesora szła zawsze w parze z pełnieniem innych rozlicznych funkcji. Oprócz kierowania zakładem w latach 1950–54 został pierwszym rektorem Akademii Medycznej we Wrocławiu. Był członkiem Rady Naukowej Instytutu Onkologii w Warszawie oraz członkiem kilku innych rad, komitetów i komisji w Polskiej Akademii Nauk. Od 1963 r. Profesor Z. Albert był członkiem-korespondentem, a od 1969 członkiem rzeczywistym PAN. [...]

Po odejściu w 1979 r. na emeryturę, Profesor nadal uczestniczył w pracach naukowych i pomagał w działalności diagnostycznej zakładu. W 1981 r. wyjechał do Niemiec, gdzie mieszkał pod Bremą do śmierci, wraz z synem i jego rodziną. Jeszcze przez parę lat współpracował z patologami z Wielkiej Brytanii, prowadząc prace badawcze z zakresu historii medycyny. Zmarł w Niemczech w październiku 2001 r.

84 ROCZNICA OBRONY LWOWA

1-22 listopada 1918

Grafika Emilii Wołoszyn



Z DR MARIĄ TASZYCKĄ

o polskich tkaninach artystycznych na Ziemiach Południowo-Wschodnich

rozmawia
Ireneusz Kasprzysiak



Studiowaliśmy razem historię sztuki na UJ i wiem, że później zajęłaś się dawnymi tkaninami. Powiedz więc, Marysiu, jak to było naprawdę z wyrobami orientalnymi na naszych Ziemiach Wschodnich?

Ziemie te w naszej świadomości to taka trochę baśniowa kraina, w której wnętrza zamków i pałaców, szczególnie w XVII i XVIII wieku, zasłane były orientalnymi kobiercami, zawieszane tureckimi i perskimi makatami. Z takim wystrojem wewnątrz harmonizowały ubiory ich mieszkańców, szyte z kosztownych wschodnich jedwabii. Jest w takim obrazie część prawdy, ale tylko część. Z pewnością kobierców i innych dekoracyjnych tkanin było na Kresach więcej niż w zachodniej części Małopolski, nie wspominając już o Wielkopolsce czy Mazowszu. Niemniej nie tylko one decydowały o charakterze tamtejszych wewnątrz pałacowych, dworskich, mieszczańskich, a także kościelnych. Dużą rolę odgrywały w nich również tkaniny zachodnie, najpierw włoskie, potem francuskie. Zastosowanie tych europejskich

tkanin było szerokie: szyto z nich ubiory męskie i kobiece, opony i obicia na ściany, baldachymy i kotary przy łóżkach, kołdry i poduszki na łoża i ławy, a także szaty liturgiczne i paramenty kościelne. Konkurencji zachodniej nie miały jedynie wschodnie kobierce, ale przeważająca ich część wcale nie stanowiła zdobyczy wojennych, lecz przedmiot znakomicie zorganizowanego, regularnego handlu ze Wschodem, który skupiał się głównie w rękach Ormian, choć i inne nacje wschodnie miały w nim swój udział.

Skąd więc ta swoista wizja Kresów i stereotyp dotyczący wschodnich tkanin, który funkcjonuje aż do dziś?

Ten piękny, lecz nie całkiem prawdziwy obraz ukształtował się w wieku XIX. Na jego powstanie złożyły się różne przyczyny. Nie bez znaczenia był fakt, iż stanowił odpowiednie tło dla „snów o potęgde”, którymi krzepił się upokorzony i ciemniony przez zaborców naród. Do utworzenia takiej właśnie wizji Kresów przyczyniła się dziewiętnastowieczna powieść historyczna, opisująca życie tych ziem w dawnych wiekach i polskie zmagania z Turkami i Tatarami. Z wizji tej zrodziła się fascynacja sztuką Orientu. Uległo jej wielu, uległ także Tadeusz Mańkowski, czego owocem są jego prace o sztuce Islamu w Polsce (prof. Mańkowski wykładał na UJ historię sztuki Bliższego Wschodu w latach pięćdziesiątych). Ten badacz wielkiej wiedzy i kultury, znawca wielu dziedzin sztuki, w swojej książce poświęconej polskiej tkaninie artystycznej XVI–XVIII w. nie docenił obecności tkanin zachodnich w Polsce i ich wpływu np. na hafty polskie.

Mówisz więc o tkaninach zachodnich w Polsce, istniejących co najmniej równolegle z wyrobami wschodnimi – kiedy pojawiły się one u nas? Czy handel tymi tkaninami był w jakiś sposób zorganizowany?

Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że włoskie jedwabie docierały do Polski i to już od średniowiecza, kiedy to kupcy genueńscy zorganizowali szlaki handlowe łączące Genuę z ich krymską kolonią Kaffą, a przechodzący również przez Kraków i Lwów. Swoje przejazdy przez Polskę Genueńczycy wykorzystywali dla zdobycia nowego rynku zbytu, zakładając domy handlowe w Krakowie i Lwowie, a w miastach prowincjonalnych otwierając kramy. Taki

kram istniał np. w 2. połowie XIV w. nawet... w Kołomyi. Prowadził go Erazm Fattinanti, bratanek osiadłego w Krakowie Godfryda. W następnych stuleciach Lwów był drugim w Polsce, po Krakowie, ośrodkiem handlu tkaninami włoskimi. Handel ten pozostawał głównie w rękach kupców pochodzących z Florencji. Jeden z nich, Urbano Ubaldino della Ripa, założył we Lwowie w 1575 r. duży dom handlowy, który następnie długo jeszcze pozostawał w rękach jego potomków. Z wieku XVII znamy kilka nazwisk osiadłych we Lwowie kupców włoskich wyspecjalizowanych w handlu tkaninami jedwabnymi. Byli to Roberto Bandinelli, Jacopo Buonafede, Alessandro Ubaldini, Filippo Ducci. Nie wiemy, jak przedstawiały się ich bezpośrednie kontakty z ośrodkami tkackimi we Włoszech, wiadomo natomiast, że utrzymywali ściśle kontakty handlowe z właścicielami dużych krakowskich domów handlowych: Giuliem Attavantim i Lorenzem Tuccim.

Gdzie jeszcze ci kupcy ze Lwowa mogli się zaopatrzyć we włoskie tkaniny?

Na przykład na słynnych jarmarkach w niezbyt przecież od Lwowa odległym Jarosławiu. Rozpoczynały się one w święto Wniebowzięcia, tj. 15 sierpnia, i trwały dwa tygodnie. Kupcy włoscy z Krakowa corocznie wysyłali do Jarosławia duże transporty taft, atlasów, adamaszków, aksamiotów i innych.

Jak długo to trwało? Co działo się w następnym stuleciu? Jak przedstawiała się rodzima produkcja jedwabi?

W XVIII w. włoskie jedwabie ustąpiły miejsca francuskim, gdyż w tym czasie Francja była pierwszą europejską potęgą w tym zakresie. W Polsce tkanin jedwabnych nie wyrabiano. Klimat nie sprzyjał uprawie drzew morwowych i hodowli jedwabników. Handel wszak dostarczał wielką różnorodność tkanin zarówno wschodnich, jak i zachodnich, mogących zaspokoić wszelkie gusty i potrzeby.

To znaczy, że w ogóle niczego nie produkowano i nie ściągano do Polski zagranicznych tkaczy?

Mańkowski pisze o sprowadzeniu do Brodów przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego w 1641 r. dwóch Greków, Manuela Korfińskiego (z Korfu) i Konstantego, który przyjął nazwisko Stamowski. Mieli oni na życzenie swego protektora zająć się tkaniem złotogłowi. Jednak ta inicjatywa Koniecpol-

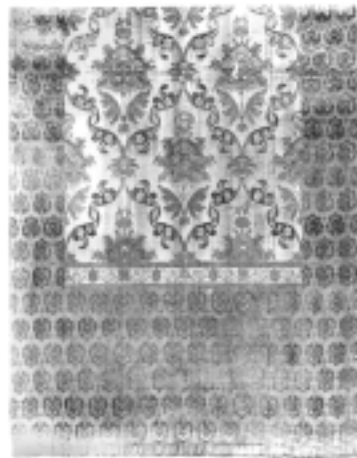
skiego była marnym kaprysem, bez znaczenia dla historii tkaniny artystycznej w Polsce. Po 1644 r. w Brodach pozostać miał sam Stamowski, bo Korfiński przeniósł się do Lwowa, gdzie – wciąż pod tym samym patronatem – prowadziła pracownię złotogłowniczą. Był jednak kupcem, a nie tkaczem, musiał więc do wyrobu tkanin o bardzo skomplikowanej strukturze splotowej zatrudniać doświadczonych tkaczy. Było to w naszych warunkach mało opłacalne i po pracowni tej rychło wszelki słuch zagaśniał. A wracając do Brodów, choć nie produkowano tam jedwabi, miasto to ma swój wkład w dzieje tkaniny polskiej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa istniała tam pracownia kobiernicza sprowadzonych przez Koniecpolskiego Turków.

A słynne polskie pasy kontuszowe? Gdzie je wyrabiano – i czy słusznie kojarzy się je ze Słuckiem?

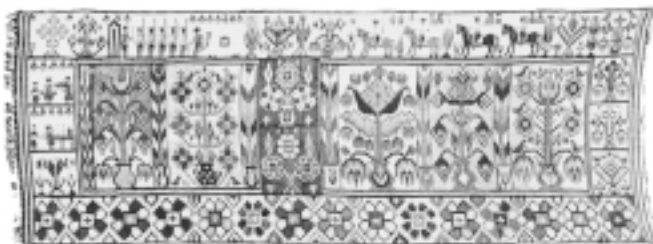
Produkcja persjarska (czyli wyrób pasów kontuszowych, potocznie zwanych słuckimi), która tak pięknie rozwinęła się w Polsce w 2. połowie XVII w. i stanowi chlubę naszego rzemiosła artystycznego, pozostawiła na ziemiach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej jedynie nikły ślad. Wiemy, że w połowie XVIII w. przez lat kilkanaście mieszkał w Stanisławowie tkacz ormiański Dominik Misiorowicz, który



Kobierzec z herbami Mniszców i Potockich, prawdopodobnie Brody, XVIII w.



Makata buczacka (fragment), XIX/XX w.



później przeniósł się do Brodów. Wydaje się, że tkaczy ormiańskich żyło w tym czasie w Stanisławowie więcej. Byli to wszystko uchodźcy z Turcji, gdzie, szczególnie w Stambule, kolonia ormiańska była liczna i gdzie Ormianie specjalizowali się w wyrobie pasów przeznaczonych na wywóz do Polski. Ze Stanisławowa też sprowadził Radziwiłł do Słucka Jana Madżarskiego, znanego później kierownika słynnej tamtejszej manufaktury persjarskiej. Znamy także wyroby pracowni istniejącej przy końcu XVIII w. w Kutkorzu, majątku rodziny Łączyńskich.

Ale przecież na produkcji persjarskiej nie kończy się wizerunek prac tkackich podejmowanych na ziemiach południowo-wschodnich.

Oczywiście, była również sztuka kilimkarska, którą z pewnością tam uprawiano już w XVII wieku, a pełny jej rozkwit nastąpił w XVIII w. Wschodnia technika tkania kilimów przejęta przez naszych rodzimych tkaczy i dostosowana do wymagań gustu polskiego, dawała tkaniny dekoracyjne o specyficznym wyrazie. Mam tu szczególnie na myśli kilimy tzw. dworskie, wyrabiane w pracowniach przydworskich, na użytek własny właścicieli majątków. Kwitła ta sztuka przy podolskich dworach, sięgając daleko za Zbrucz, na ziemie, które po pierwszym rozbiore przypadły Rosji i które określone były potem jako Podole rosyjskie. Tkactwo kilimów mogło na tych terenach rozwijać się bez przeszkód, bo surowca – wełny oraz lnu i konopi – na osnowy nie brakowało, a krosna, na których je wyrabiano były proste, prosta była także sama technika.

Mówisz przede wszystkim o kilimach „dworskich” – czym się charakteryzowały i jak wyglądał taki typowy wyrób?

Kilimy dworskie zdobiono ornamentem kwiatowym pokrewnym haftom polskim. Do stałego repertuaru należały motywy gałązek kwiatowych, bukietów, koszy lub wazo-

nów z kwiatami. Powtarza się w nich stały zestaw zasadniczych barw: różowej i błękitnej z zieloną, najczęściej na tle brunatnym lub kremowym – w naturalnych kolorach runa owczego, na złocistożółtym, czasem błękitnym.

Kilimy tkano nie tylko przy szlacheckich dworach, ale także na wsiach i w małych miasteczkach. Te ludowe wyroby prezentowały wzory geometryczne lub zgeometryzowany ornament roślinny, nierzadko o mocnej kolorystyce. Tkano je po trochu wszędzie na rozległych terenach Kresów, ale wydaje się, że ludowe kilimkarstwo rozwinęło się szczególnie w okolicach Zbaraża, Załoziec, Toków, Kosowa. Cała ta bardzo interesująca dziedzina naszego rzemiosła artystycznego pozostaje do dziś prawie zupełnie nieopracowana. Poza starą, wydaną w okresie międzywojennym pracą S. Szumana nie ma publikacji jej poświęconych.

Produkcja kilimów, jak się domyślam, trwała na Kresach bardzo długo. Można ją obserwować do jakiego czasu?

W 2. połowie XIX stulecia nastąpił widocznie spadek produkcji kilimkarskiej, gdyż rodziły się w tym czasie inicjatywy mające na celu jej ożywienie. Odnajmy dwie z nich. Pierwsza to utworzenie przez Władysława Fedorowicza szkoły tkackiej w należącej do niego wsi Okno w powiecie skałackim. Jej działalność wzbudziła zainteresowanie wiedeńskich historyków sztuki. Druga inicjatywa to zorganizowanie pod koniec XIX w. Stowarzyszenia Tkaczy w Glinianach w powiecie przemysłańskim. Kilimy wykonane przez zrzeszonych tkaczy pokazywane były nawet za granicą, jak np. na wystawie paryskiej w 1900 roku.

A w czasach nam bliższych?

W okresie międzywojennym w miejsce Stowarzyszenia powstała w Glinianach Państwowa Szkoła Tkacka nastawiona na nauczanie kilimkarstwa. Tkanie kilimów mogła się młodzież nauczyć w Szkole Przemysłowej we Lwowie. Do II wojny światowej istniały na Ziemiach Wschodnich liczne pracownie, w których wyrabiano tradycyjne kilimy typu dworskiego, na wsiach zaś kontynuowano wyrób kilimów ludowych.

Które spośród wyrobów powstałych na tzw. Kresach uważasz za szczególnie wartościowe pod względem artystycznym i kulturowym?

Zasada chronologii sprawia, że teraz mogę powiedzieć kilka słów o jedynym w swoim rodzaju zjawisku artystycznym, będącym ostatnim odbłaskiem staropolskiej kultury – o makatach buczackich. W latach siedemdziesiątych XIX wieku jeden z trzech braci Potockich, do których należał wówczas Buczac, Oskar, założył wytwórnię makat. Przeznaczył na nią zabudowania znajdujące się na wyspie zwanej Papiernią, położonej na rzece Strypie we wsi Podzamczek. Sprowadził z Lyonu surowiec: przędzę jedwabną i nici metalowe oraz niewątpliwie doświadczonego tkacza lub tkaczy – w celu przygotowania miejscowych ludzi do pracy w wytwórni. Rzemieślnicy trudniący się tkaniem ozdób na ludowe koszule wiele musieli się nauczyć, nim stanęli przy krosnach używanych do wyrobu tkanin jedwabnych i nim zmierzylili się z nieznanymi im technikami tkackimi. W początkowym okresie działalności wytwórni tkano w niej makaty wełniane. Pierwsza znana nam jedwabna makata pochodzi z 1878 r.

Buczackie makaty jedwabne były zupełną nowością. Czy musiały się mocno przebić do swoich nabywców?

Wręcz przeciwnie, stosunkowo szybko zdobyły popularność, do czego niewątpliwie przyczyniła się ich prezentacja na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w 1894 r. W latach późniejszych wielokrotnie pokazywane były na wystawach promujących polski przemysł artystyczny. Wytwórnia na Strypie nie była duża. Pod koniec XIX w. pracowało w niej dziesięciu tkaczy, wszyscy z rodziny Nagórzańskich. We wspomnieniach dawnych mieszkańców Buczacza z „makaciarnią” łączy się także nawisko Krzyżanowskich. Na początku XX w. przez pewien czas Nagórzańscy byli nawet współnikami ówczesnego właściciela wytwórni, Artura Potockiego. Przez przeszło 60 lat jej istnienia wyprodukowano grubo ponad 4000 makat.

To chyba dużo, zważywszy na sposób produkcji i małą liczbę zatrudnionych w „makaciarni”.

A oprócz makat tkano tam jeszcze dekoracyjne wierzchy na poduszki, a w początkowym okresie pasy do kontuszy, poszuki-

wane w związku z renesansem polskiego stroju narodowego. Skład główny wyrobów buczackich przed I wojną światową mieścił się w Bazarze Krajowym przy ul. Akademickiej we Lwowie. W okresie międzywojennym można je było zakupić w pawilonie Targów Wschodnich.

Czy zechciałabyś, Marysiu, opisać naszym Czytelnikom charakterystyczną makatę buczacką? Czy były one bardzo podobne do siebie, czy też może prezentowały odrębne wzory i motywy?

Wzornictwo było różnorodne. W sposób ogólny wzory występujące w tych makatach podzielić można na trzy grupy: 1. lekkie makaty jedwabne z ornamentem geometrycznym o charakterze wschodnim, 2. makaty lite nicią metalową wykorzystujące w dekoracji zwielokrotniony motyw pasa kontuszowego, 3. również lite makaty z motywem krzaczków lub gałązek kwiatowych, w układzie szachownicowym lub ujętych w podziały sieciowe. Makaty wychodzące z tej wytwórni miały naszyty na odwrocie znak fabryczny tkany na taśmie. Stałym jego elementem była tarcza z herbem Potockich Pilawa, umieszczona w owalnym otoku, z napisem BUCZACZ u góry. Pozwalało to odróżnić oryginalny wyrób od naśladownictw, których nie brakowało. Już na początku XX wieku przedsiębiorcy żydowscy podrabiali makaty w Kołomyi, a w Andrychowie specjalizowała się w tym fabryka niejakiego Grynszpana. Wytwórnia buczacka czynna była do 1939 r. Kres jej istnienia położyło wkroczenie wojsk sowieckich. Wkrótce potem wyposażenie



Sygnatura jednej z makat z wytwórni buczackiej (na krajce): herb Potockich i inicjały A.P. (Artur Potocki), numer kolejny wyrobu, wymiary makaty oraz zapewne nazwisko tkacza (Krzyż)

(dokończenie na s. 18)

Jerzy Masior

Wrażliwość

Jest czerwcowy wieczór 2002. Już zapada zmierzch i niektóre zadrzewione zbozcha Stryjskiego Parku zanurzyły się w przednocnym mroku. Siedzę na ukrytej w gąszczu jaśminowym parkowej ławce w pobliżu sadzawki i zastanawiam się, czy istnieje coś takiego jak lwowska wrażliwość, a może nawet nadwrażliwość. Nie jestem tu sam, bo przecież samotność w wieczornym czy nocnym parku to tylko dramat. Są ze mną sądeckie licealistki i cały zespół śpiewających „Iskierek” z Maciejowej. Ta wrażliwość, na którą mi się zbiera, dotyczy oczywiście mnie, a nie ich. Choć któż to wie? Dziewczęta przebiegły cały prawie Lwów. Nawchłaniały się miejsc i rzeczy najpiękniejszych, bo tylko takie im pokazywałem, a one swoją wrażliwość też mają, chociażby w selekcjonowaniu tego, co je zachwycało tak, że pewnie zapamiętają...

Wrażliwość jest nam kiedyś, na początku żywota, przydawana i trwa z nami jako cecha osobnicza. Ale też bogaci się, dojrzewa w czasie jej trwania, bo przecież cały czas działają zmysły. A to one są stacjami przekazywania i transformacji. Nie mogę wyzbyć się uczucia, że to miasto, które użycza mi ławki w wieczornym Stryjskim Parku, ma niezliczoną ilość takich miejsc, którymi wzrok oślepia, słuch ogłusza, powonienie poraża, nie mówiąc już o tempie rytmu serca.

Mobilizuję całą moją świadomość, także i tę dawną, zwaną dziś pamięcią, żeby racjonalnie i egzystencjalnie zaprzeczyć wzruszeniem. Bo przecież nie wypada na stare lata wzruszać się ponad miarę. Należało przewidzieć, uodpornić się. Przecież w przeszłości plątałem się po lwowskich parkach: Łyczakowskim, Jezuickim, po Wysokim Zamku, a pewnie i tu, w tym samym miejscu też. To była meta zwiedzania Targów Wschodnich. No i co? Jak to wtedy było? Jaki był przymus, aby tu wtedy być? Chyba żaden. Magnetyczne Targi, hipnotyczny Park. A dziś? Naprawdę słodko, tak jak wtedy, pachnie jaśminowy gąszcz wo-

kół mojej ławki i nad nią, bo obrasta ją nieczym zielony obłok. Przejmująca woń też jest nutą tego obłoku. Dziewczęta znoszą mi białe łąbędzie pióra pozostawione przez ptaki na brzegach sadzawki. Te pióra jaśnieją jakoś tak szczególnie w parkowym zmierzchu. Jedna chwila, a te dziewczęta upodobnią się do białych ptaków ze stryjskiej sadzawki i ulecą w swoje rodzinne strony na skrzydłach – być może – wzruszenia. Przywołuję się do porządku, by nie konfabulować, a spojrzeć na to, co wokół mnie, realistycznym spojrzeniem i nie prześlądać się do woli w krzywym zwierciadle czasu... Niezbyt mi się to udaje. Zwierciadło jest to wklęsłe, to wypukłe, nielitościwie zmienia obraz i nieustannie go upiększa. Tak to bywa z bardzo późnymi pobytami w lwowskich parkach. Na dodatek z sadzawkami, łąbiedziami, jaśminami i licealistkami znad Dunajca. O ileż jestem bogatszy od tych, którzy takich wieczorów tu mieć nie będą. Bo ubodzy bywają ci, którzy nie mają o czym pamiętać. Do mojej szkatułki zapamiętanych dni dołączy się jeszcze ten jeden – czerwcowy 2002 roku.

Przedziwne w pewnej chwili nawiedzają mnie fantasmagorie: do mojej ławki zbiega się całe miasto, cały Lwów. Są w nim miejsca szczególnie zielone, z zielenią jarzącą blaskiem zapalonych latarń, wyłącznie gazowych. Są: Kurkowa, Teatyńska, Leśna, Słodowa. Mającą kasztany nad placem św. Antoniego. Do dziś rozpowiadam i piszę, że na tym placu odbywały się sabaty poetów – Hemar, Zagajewski, Szolginia. Wystarczy? Przytomniej i nachodzi mnie refleksja, że jeszcze dziś rano, na Leśnej, pod moją kamienicą, która wypisz-wymaluj jest, jaka była, a ja wcale nie chciałem w niej znów zamieszkać. W tych pokojach z przeszlicznymi widokami na sporą połać Lwowa, aż po wieże Elżbiety i Jura, po zamglony zawsze horyzont Lewandówki i Biłohorszcza. Nie potrafię pozbyć się tych na pamięć znanych widoków miasta i dali poza nim, ale żyć na Leśnej już bym nie chciał. Dlaczego? Czy już tak nadgrzył mnie czas, w którym żyłem? Nie wiem. Jakakolwiek odpowiedź nic tu nie zmieni. To jednak odwieczna prawda, że starych drzew się nie przesadza. Po prostu nie! Takie myśli oponowują mnie w Parku Stryjskim w czerwcowy wieczór 2002 roku.

A te jaśminy, to pewnie czekały na mnie i na moje dziewczęta, *śpiwające* lwowskie piosenki. Lwów to jednak dla nich zagranica. Czy dla mnie już też? Choć w Stryjskim kwitną jaśminy, a w Łyczakowskim niesie się zapach rozkwitłych lip. Zawsze tak tu o tej porze bywało. Łamiemy drobne, rozkwitłe gałązki i unosimy stąd kwiaty i zapach. Pojadą do Sącza, by zwiędnąć na zawsze między stronicami książek. Może o Lwowie?

Lwów, 15 czerwca 2002

Od nas: Jerzy, jesteś przekorny. To przecież dzięki Tobie Twoje ś p i w a j ą c e dziewczęta mają zapomnieć o granicy. I wiemy, że Ci się to udaje! Ładnie to napisałeś, ale nie rozkliwiał się aż tak! Nie wolno. Masz jeszcze wiele do zrobienia. I do napisania. Jerzy dodał jeszcze taki piękny wiersz:

W stryjskim parku 2002

To miejsce znam od dawna, a jednak
przystaję;
Tu wszystko jest tylko to czerwcem,
to majem.
Cień ukłął na wzgórzu – na drugim
słonecznie.
Tu chwila trwa nie chwilę, ale jakoś
wiecznie.

Czyśmy tu z własnej woli, czyśmy tu
zwabieni
Muzyką, która kiedyś, a teraz milczenie.
Przystajemy, tak trzeba, spojrzenia
jak głązy
I wciąż coś pamiętamy – tak, już tyle razy.

Jaśminy zewsząd, wokół rozkwitły znów
w parku.
Dla nich przecież, choć bitwa, powracać
wciąż warto.
I jeszcze gdy łabędzie wciąż białe,
wciąż białe,
Zawsze w maju i w czerwcu, zawsze
czegoś chcieli...

Nowy Sącz, czerwiec 2002

W ubiegłym roku obchodziliśmy stulecie urodzin Mariana Hemara. W tym roku przypadło trzydziestolecie Jego śmierci (1901–1972). Twórczość Poety była i jest natchnieniem dla Autora tego pięknego wiersza:

Roman Hnatowicz

Honor Polski

*Wielkiemu Lwowianinowi
– Marianowi Hemarowi*

Bóg nam powierzył Polski Honor.
Bóg nam Lwowiakom go powierzył –
SEMPER FIDELIS było zawsze
Dewizą Kresów i rubieży.

Honor Polaków nam powierzył
Bóg – przeto Bogu Go oddamy,
Gdy już Lwowianie wszyscy wymrą
I hańbie nikt nie wzniesie tamy.

Bo tam Orleńta śpią, we Lwowie,
Ojczyzny naszej strzegąc progu,
By – jak rycerze pod Giewontem
Na dźwięk Złotego powstać Rogu.

Powstać – i ruszyć Jej na pomoc,
Gdy Polska będzie znów w potrzebie.
Bo tak nakaże Lwowski Honor –
Ten sam na ziemi, co i w niebie.

By jak forteca kamieniecka
Znowu piersiami strzec Ojczyzny.
Znowu wskazywać, że w Jej służbie
Nie straszna śmierć, ni krew, ni bliźny.

Losy są każdej wojny zmienne.
I nasza wojna nie skończona...
Każdy Lwowianin Honor Polski
Odda więc Bogu – zanim skona.

Kraków, 2002

Rozmowa z dr Marią Taszycką (dokończenie ze s. 15)

„makaciarni” zostało wywiezione w kierunku wschodnim.

W całych naszych dziejach zawsze jacyś oszuści, ukryci czy jawni wrogowie starali się zniszczyć to, co polskie, wartościowe, co dokonane wysiłkiem Polaków...

Chciałabym, na koniec, wspomnieć osobę, która badaniom nad makatami buczańskimi – nie ukończonymi niestety – poświęciła kilka ostatnich lat swojego życia. Osobą tą była pani Wanda Grodzicka, wieloletni kustosz Zbiorów Sztuki na Wawelu. Po przejściu na emeryturę, w latach siedemdziesiątych, podjęła pracę nad monografią tych makat. Zgromadziła ogromną dokumentację fotograficzną makat znajdujących się w polskich zbiorach muzealnych oraz w posiadaniu osób prywatnych. Wyszukiwała byłych mieszkańców Buczacza i wertowała stopy prasy z okresu istnienia wytwórni, aby zdobyć wiadomości o jej historii i działalności. Śmierć przerwała tę pracę, bardzo już zaawansowaną, ale zgromadzone materiały gdzieś zaginęły. Strata to niepowetowana i dziś już nie do odrobienia.

Pięknie Ci dziękuję za tę rozmowę.

MARIA TASZYCKA, ur. 1934 we Lwowie, tamże w latach 1941–44 uczyła się w szkole powsz. przy ul. św. Zofii. Od 1945 w Krakowie. Historyk sztuki, studia 1951–55 na UJ, doktorat 1968. Autorka 4 książek oraz licznych artykułów w czasopiśmie specjalistycznych krajowych i zagranicznych. Emer. starszy kustosz Muzeum Narodowego w Krakowie. W CL od samego początku opracowuje hasła *Słownika geograficzno-historycznego*.

Zgodnie z sugestią redakcji w rozmowie pominięto temat całkiem odrębny – bogatą produkcję artystyczną w zakresie tkactwa ludowego, tworzonego przez karpaccich górali, przede wszystkim Hucułów, których sztuka plasuje się na skrzyżowaniu kultur rumuńskiej, ruskiej i polskiej (jako analogia – patrz artykuł J. Kamockiego o gamcarstwie, CL 1/02). Nie poruszano również osobnego tematu – hafciarstwa, a w pojęciu tym mieści się obfite na tamtych ziemiach wytwarzanie namiotów, ubiorów itd. Zagadnienia te wymagają całkiem osobnego omówienia.

Wspomnienie o profesorze Gorczyńskim (dokończenie ze s. 9)

a poświęconych głównie zagadnieniom związanym z brakiem uzębienia i protetyką oraz związanymi z nimi badaniami antropometrycznymi, klinicznymi, histopatologicznymi i cytologicznymi.

Wielki trud Profesora, Jego autorytet i szacunek, jakim darzono Go w całym kraju, przejawia się m.in w przeprowadzeniu 10 przewodów doktorskich, 2 habilitacyjnych oraz w dużej liczbie prac doktorskich i habilitacyjnych, których był recenzentem. Profesor Gorczyński cieszył się ogromną popularnością i powszechną sympatią. Jego pojawienie się na mównicy na sympozjach i konferencjach krajowych zebrani witali zawsze oklaskami.

Trudno sobie wprost wyobrazić, aby jeden człowiek mógł sprawnie kierować dwiema katedrami, spełniać przez 10 lat obo-

wiązki dyrektora Oddziału Stomatologicznego, współpracować aktywnie z Polskim Towarzystwem Stomatologicznym, brać udział w organizacji polskiej protetyki stomatologicznej i równocześnie pracować naukowo. Okazało się to możliwe dzięki temu, że potrafił zgromadzić wokół siebie ludzi oddanych bez reszty pracy i swemu Profesorowi. Profesor Gorczyński pozostawił liczne grono uczniów, którzy nadal w swoim życiu i w pracy starają się iść drogą wytyczoną przez Niego.

Źródła:

Krystyna Gorczyńska, *Wspomnienie o moim Ojcu dr. Henryku Gorczyńskim ze Lwowa* (rękopis)

N. Wigdorowicz-Makowerowa, *Wspomnienie pośmiertne o Profesorze doktorze Henryku Gorczyńskim* [w:] *Protetyka Stomatologiczna*, 1979, XXIX, 5

Danuta Nespiaik

LWÓW I WROCŁAW

Autorka poniższego tekstu, doskonale znana naszym Czytelnikom p. dr Danuta Nespiaik, historyk sztuki (notka biograficzna w CL 4/01), nadesłała tekst, zatytułowany „Glosa do «Nieporozumienia»”, zamieszczonego niedawno w naszym kwartalniku (CL 1/02, s. 34).

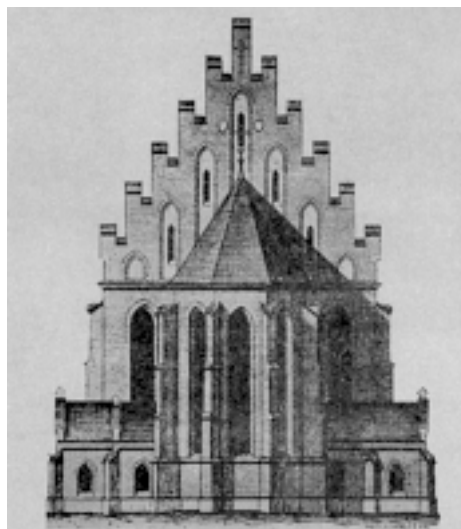
Zgadzam się zupełnie z opinią p. Barbary Kraśnickiej, którą przedstawiła w *Nieporozumieniu*, a która dotyczyła kresowego potknięcia B. Cywińskiego, stałego publicysty „Rzeczypospolitej” [...]. Nota bene poznałam osobiście pana Cywińskiego w Szwajcarii, w małej miejscowości koło Fryburga, kiedy kierował tam w latach 80. biurem „Solidarności”, i wtedy jakoś rozminęły się jego i moje opinie na niektóre tematy.

Wracając do *Nieporozumienia* i dziękując p. Kraśnickiej za tę ripostę, pozwalam sobie zwrócić uwagę na pewne niedostrzeżenie faktów historycznych przez szanowaną autorkę, no i *a la longue* – że może być to korzystne w sytuacji, kiedy nie brakuje chęci ani starań, by we Wrocławiu utworzyć Centrum Wypędzonych. Oczywiście wiemy, co i ile dały Kresy Rzeczypospolitej – chyba dały najwięcej. Natomiast na ogół nie wie się, poza wąskim gronem historyków i osób zainteresowanych, że Wrocław, miasto najbardziej polskie w chwili swych narodzin, w malusieńkim wymiarze – w czasach gotyku i renesansu – wzbogacił Lwów o ludzi nieprzeciętnych i wiernych, którzy już w drugim pokoleniu stawali się polską patrycjuszowską substancją miasta. Wędrowali prastarą drogą handlową Wrocław–Kraków–Lwów wrocławscy muratorzy, rzemieślnicy, kupcy. Jedni z nich, jak Stecherowie, byli też ławnikami – właśnie Piotr Stecher, poważany wielce w mieście, kierował budową katedry lwowskiej, a staraniem o tę fundację Kazimierza Wielkiego poświęcił całe

swoje pracowite życie. Stecherowie otrzymali później szlachectwo i przybrali nazwisko Winnicy.

Do najświetniejszych rodzin patrycjuszowskich Lwowa należeli Szolc-Wolfowicze, wywodzący swoje korzenie z Wrocławia. Spolszczeni już w drugim pokoleniu, utrzymywali rozległe kontakty kulturalne z wybitnymi osobistościami, m.in. z Justusem Decjuszem. Goriwi katolicy, przekazali swoim dzieciom w testamencie, że jeśli wśród wierzących znajdą się takie ubogie ludzkie, żeby nie mieli czym płacić – tym należy darować, tylko – jak zarządził Wolfgang Szolc – niech za mnie Pana Boga proszą. Jego potomkiem był Józef Szolc-Wolfowicz, autor sławnego i czczonego obrazu Matki Bożej Łaskawej w katedrze lwowskiej, przed którym Jan Kazimierz składał swoje śluby.

Przypominam też, że z Wrocławia pochodził Jan Pfister, jeden z najwybitniejszych artystów późnego renesansu w Polsce. W 1615 r. Pfister posiadał już obywatelstwo miasta Lwowa, a dwa lata później ożenił się z córką aptekarza lwowskiego, Katarzyną Świątkiewiczówną. Najwybitniejszym dziełem Pfistera we Lwowie jest wystrój rzeźbiarski kaplicy Boimów. Był nadwornym artystą Sieniawskich w Brzeżanach, autorem ich monumentalnych nagrobków w kaplicy zamkowej.



Katedra lwowska (od strony absydy). Rekonstrukcja stanu pierwotnego

Historyczne związki, które łączyły Wrocław ze Lwowem, mają szczególnie zbieg chronologiczny – spotkanie prawie w jednym czasie momentów zwrotnych w ich dziejach. W roku 1339 Kazimierz Wielki zrzekł się praw do Śląska i Wrocław opuścił na sześć wieków państwo polskie. Natomiast od roku 1340 Lwów był przez sześć wieków miastem polskim, mimo że *przeżył* zabór austriacki. Wtedy też nie przestał być miastem polskim.

Oczywiście, tak jak stwierdziła autorka *Nieporozumienia*, ogromny jest wkład Polaków i kultury *kresowej* w dzieje i rozwój Polski, bo bez *Kresów* Rzeczpospolita nie byłaby Rzeczpospolitą. Niepoważne, a wręcz śmieszne byłoby ten *kresowy* dorobek zestawiać z *wrocławiami* i *szczecinami*, choćby *podniesionymi do kwadratu* i nie o to chodzi. Ale kawałek Lwowa, tego wspaniałego akademickiego Lwowa, jego ludzi i tra-

dycji, wyrokiem Jałty znalazł się we Wrocławiu i nie należy – mając na uwadze nasz narodowy interes – lekce sobie ważyć rolę tego miasta w o b e c n e j (podkr. red.) sytuacji.

Jeszcze jedna krytyczna uwaga moja w stosunku do publicystyki na tematy *kresowe* p. B. Cywińskiego. Relacjonując ubiegłoroczną pielgrzymkę Jana Pawła II we Lwowie i na Ukrainie w „Rzeczypospolitej” (*Plus–Minus* z 30 VI–1 VII 2001) napisał: *Polacy będą – oby nie za licznie i nie za manifestacyjnie – we Lwowie*. Czy te zgoła mało chrześcijańskie życzenia w stosunku do naszych Rodaków nie stawiają go w rzędzie „najpoprawniejszych politycznie” publicystów?

Od redakcji: Jeśli pamięta się z jakich kręgów wywodzi się publicystyka p. Cywińskiego, to czy coś może zaszłości?

Archiwum

ŚWIĘTA KRÓLOWA JADWIGA

Królowa Jadwiga została przed pięcioma laty ogłoszona świętą – aktu kanonizacji dokonał 8 czerwca 1997 r. Ojciec Święty Jan Paweł II w czasie kolejnej pielgrzymki do Krakowa i całej Polski. O uroczystości tej, a także o związkach Świętej Królowej ze Lwowem i Ziemią Czerwieńską pisaliśmy w CL 3/97. Warto przypomnieć jeszcze jeden fakt, potwierdzający szczególnie związek Królowej ze Lwowem – związek może nie tak spektakularny z historyczno-politycznego punktu widzenia jak wcześniej przypomniany, jednak istotny dla kultu św. Jadwigi Królowej. Historię tę zrelacjonował w „Magazynie” GW 23/97 W. Olszówka, skąd czerpiemy tę ciekawą historię (ale z własnym komentarzem).

Do decyzji o kanonizacji potrzebny jest – poza dokumentacją potwierdzającą *heroiczność cnót* – również udokumentowany cud. Dla Królowej Jadwigi cud taki związał się z osobą pani Anny Romiszowskiej, z domu Rostafińskiej (córka i wnuczka profesorów UJ, zamieszkała w Warszawie), która w latach 40. ciężko zachorowała, a po roku w sposób dla lekarzy niezrozumiały – wyzdrowiała. Bezpośrednia przyczyna ozdrowienia przypisywana jest relikwii –

skrawkowi tkaniny, w którą owinięte były szczątki Królowej przy ich przenoszeniu do sarkofagu w Katedrze Wawelskiej w związku z trwającym wtedy procesem beatyfikacyjnym (zakończonym w 1979 r.).

Jednak fakt ów miał swój mocny fundament. Oto Anna Rostafińska od swoich lat dziecińczych żywiła szczególnie kult dla Królowej, wywołały książką odziedziczoną po matce-lwowiance, a napisaną przez biskupa lwowskiego ks. Władysława Bandurskiego: „Jadwiga, Święta Królowa na polskim tronie” (i o tej książce wspominaliśmy w CL 3/97). W. Olszówka tak pisze:

Ta książka to jedna z najcenniejszych rodzinnych pamiątek. W 1916 r. otrzymała ją w darze Kizia Juraszówna, córka słynnego laryngologa Antoniego Jurasza, rektora Uniwersytetu we Lwowie, przyszła matka Anny. *Na tej książce się wychowałam. Lubiłam oglądać obrazki, a szczególnie Królową klęczącą na Wawelu przed Czarnym Krucyfiksem. Legenda mówi, że Chrystus rozmawiał z Jadwigą.*

Zwróćmy też uwagę, że lwowski profesor Antoni Jurasz był laryngologiem, a cudownie wyleczona choroba jego wnuczki – laryngologiczna. Czy nie jest to szczególnie zbieg wydarzeń, trudno wytłumaczalny *po ziemsku*?

Anna Rydlowa

LWOWSKA PREMIERA „WESELA”

W ubiegłym roku przypadła setna rocznica premier „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie i Lwowie. Oto relacja z tej drugiej, napisana specjalnie dla naszego kwartalnika.

We lwowskim Teatrze Miejskim za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego wystawiono „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w dwa miesiące po premierze krakowskiej. Przedstawienie lwowskie nie było kopią premiery krakowskiej, chociaż przed rozpoczęciem prób 3 maja 1901 r. dwaj aktorzy z teatru lwowskiego, Ludwik Solski i Michał Tarasiewicz, udali się do Krakowa, by sami mogli ocenić dramat i jego realizację. Reżyserii podjął się Solski – w teatrze zawrzało, intensywne próby przerwane pożarem w teatrze, na szczęście niegroźnym – zaczęły się 12 maja. W dwóch końcowych próbach uczestniczył sam Wyspiański.

24 maja 1901 roku Lwów zobaczył dramat Stanisława Wyspiańskiego. *Śród ciszy i skupienia słuchano sztuki, po każdym akcie rozbrzmiewały frenetyczne, długo nie milknące oklaski. Obecnego na przedstawieniu autora wywoływano po niezliczone razy – relacjonował sprawozdawca „Dziennika Polskiego” w numerze 182. Imponująca zaś już wprost była cisza w ostatniej scenie z Chochołem. Musiał być Lwów wzięty, skoro nikt nie ruszył się z miejsca i wśród zupełnego milczenia zapadła po raz ostatni kurtyna – donosił „Kurier Lwowski” nr 145. Dwa wieńce z napisem „Wielkiemu Narodowemu Poecie” wręczono Wyspiańskiemu od redakcji „Słowa Polskiego” i od Czytelni*



Teatr Wielki w epoce premiery „Wesela”. Mal. St. Tondos

Akademickiej. Gabriela Zapolska uczciła poetę bukietem jego ukochanych kwiatów – irysów i bratków.

Przedstawienie trwało do godziny 11 w nocy, a potem był bankiet na cześć autora – świętowano do rana. Wyspiańskiego powitał w Kole Literacko-Artystycznym profesor Rybkowski, w imieniu aktorów przemawiał Michał Tarasiewicz. Wiersz o złotym rogu improwizował Stanisław Rossowski –

W dniach rozbicia i boleści

U rozstajnych polskich dróg

Gdzieś nam przepadł, znikł bez wieści

Złoty róg...

1 czerwca pisał Ludwik Heller w „Dzienniku Polskim” nr 191, w felietonie *Co mówią o „Weselu”?* – *Gdzie się człowiek obróci, może być pewnym, że pierwsze zapytanie, jakie go spotka, zabrzmi: – Byłeś pan na „Weselu”?... Istna gorączka ogarnęła*

umysły lwowskich teatromanów, przeniosła się na szeroką ulicę, dotknęła kawiarni, cukierni, pokojów śniadaniowych, nawet przez niedostępne dla takich wrażeń progi zasuszonych radców po różnych biurach, poróżniła siostrę z bratem, syna z ojcem...

Zdania były podzielone – jak zwykle, kiedy mamy do czynienia ze zjawiskiem niezwykłym – jedni uznali „Wesele” za arcydzieło, drudzy określili mianem *lichoty*, zlepkiem scen bez związku...

Co sądził o lwowskim przedstawieniu Wyspiański, wiemy z jego listu, pisanego ze Lwowa do Elizy Pareńskiej, zwanej krakowską „Aspazją”, wielbicielki talentu artysty i jego wielkiej protektorki – listu pisanego 22 maja, a zatem dwa dni przed premierą. List ten jest oceną nie tylko samego przed-

stawienia lwowskiego, ale równocześnie pozwala poznać pogląd autora na sposób, w jaki powinno być grane „Wesele”. Daleki od groteski, w jaki usiłowano grać później – a i niekiedy dzisiaj – nasz wielki dramat polityczno-narodowy. Dramat największy od „Dziadów” Mickiewicza, dramat aktualny po przeszło stu latach, wciąż wzbudzający emocje i dyskusje.

Lwów, dnia 22 maja 1901
Wielce Łaskawa Pani.

Byłem dzisiaj świadkiem dwu prób (jednej rano, drugiej po południu). Grają znakomicie prawie wszyscy. Wszyscy już doskonale umieją na pamięć. Dopiero tutaj wyjdzie we wielu, wielu szczegółach. Jest świetna scena z Hetmanem, jest przepyszna Solska jako Rachela, wspaniały ogromnie żywo grany Gospodarz; niezwykle poważny i pewny Wernyhora; ślicznie grany pan młody, uczucie i artyzm w szczegółach, w powiedzeniu każdym. Tarasiewicz bardzo ładny, myślący. Solski cudownie prowadzi całą wielką scenę zbiorową aktu trzeciego i mówi wszystko o Matce Boskiej z ogromną siłą i natchnieniem. Haneczka (panna Mrozowska) dopiero tutaj należyście wystąpiła. Rycerz świetnie (pan Kwiatkiewicz). Czepiec (pan Werner) z taką szczerą wprawą, humorem i prawdą duszy. Jednym słowem, tego się nie spodziewałem, musiałbym jeszcze wymienić wszystkich resztę,

bo i Roman, choć jeszcze nie całkiem gra na próbie, ale ma te akcenty wiary i junactwa niezawodne. Dziadka gra pan Antoniewski z dużą grozą. Żyda nieoceniony Feldman. Węgrzyn Szeleń wybornie.

I cóż? W razie gdyby – ale nie śmiem tego myśleć – gdyby kto chciał przyjechać, trzeba by zamówić miejsca telegraficznie do sekretariatu do pana Węgrzyna. Solski prowadzi próby, jest bardzo zapalony, przejęty, ożywiony, bardzo wiele już zrobił, za wszystkim pilnie chodzi, wszystkiego dopilnowuje.

Równocześnie Pawlikowski kieruje próbami „Manru”, która to opera pódzie 5go jako premiera. Jeszcze się z Pawlikowskim nie widziałem. Jest możebne, że tu zostanie i przez sobotę, ale to jeszcze pewne nie jest.

Ani się mogłem domyśleć, że tak pódzie „Wesele”, jak tu pódzie.

Serdeczne załączam pozdrowienia wdzięczny

Stanisław Wyspiański

Tekst listu wg wydania: Stanisław Wyspiański *Listy zebrane*, t. IV. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998. Teksty listów opracowała Maria Rydlowa.

MARIA RYDLÓWA jest opiekunką muzeum „Rydlówka” w Bronowicach, gdzie odbyło się w r. 1900 w e s e l e. Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, była żoną ich wnuka. Jest edytorką *Listów Stanisława Wyspiańskiego*.

Naszym zdaniem

Pytania

W trakcie wizyty delegacji ministerstwa kultury i sztuki państwa Ukraina w Warszawie w połowie maja 1996 r. ustalono m.in. – o czym donosiła prasa – że *powstanie specjalna komisja polsko-ukraińska, która sporządzi rejestr zabytków polskich na Ukrainie i ukraińskich w Polsce*.

Zapytujemy uprzejmie, czy komisja ta – o ile powstała – wykonała po sześciu latach swoje zadanie? Co z zabytkowymi kościołami w Brzeżanach (zamkowym), Hodowicy, Podhajcach, które popadły w tragiczną ruinę? Co z Cmentarzem Ły-

czakowskim, na którym zabytkowe, kamienne, ozdobne grobowce są coraz to zawłaszczane przez *nowych lokatorów* i pokrywane lastrikiem?

Zapytujemy o to nie po raz pierwszy.

Drugie pytanie: o kilka lat wcześniej prezydent Kwaśniewski uzyskał z g o d ę prez. Kuczmy na zwrot Polsce zbiorów Biblioteki Ossolineum (w zamian Polska miała im oddać bibliotekę T. Szewczenki).

No i co?

W tej sprawie mamy zresztą mieszane uczucia. Zbiory Ossolińskie we Lwowie to znakomity bodziec do częstych przyjazdów tam naukowców z RP (co przynosi nam niezmiernie korzyści psychologiczne). Odwrotną stroną medalu jest – jak słyszymy – rozkradanie zbiorów.

Archiwum

220 LAT

W tym roku minęło 220 lat od założenia we Lwowie słynnej fabryki Baczewskich. Z tej okazji przypominamy doskonały tekst Wojciecha Orlińskiego pt. „Na kłopoty Baczewski”, zamieszczony przed dwoma przeszło laty w „Gazecie Wyborczej” (14 VI 2000).

Jaka była najlepiej znana firma II Rzeczypospolitej? Oczywiście wytwórnia wódek i likierów J.A. Baczewski. Inicjały w nazwie firmy należały do Józefa Adama Baczewskiego (1829–1910), który zmodernizował zakłady założone w 1782 roku przez jego pradiada. Józef Adam był geniuszem reklamy i marketingu. Z jego inicjatywy wódkę Baczewski zaczęto sprzedawać nie w pospolitych butelkach, ale w charakterystycznych karafkach. Na wielkiej wystawie przemysłu krajowego w 1894 roku* ufundował pawilon w kształcie gigantycznej karafki. Udało mu się wypromować markę firmy tak dobrze, że inicjałów J.A. sprzed nazwiska Baczewski nie usunął ani jego syn Leopold, ani jego wnuk Stefan, kolejno kierujący firmą aż do 17 września 1939 roku.

Siedzibą firmy J.A. Baczewski był Lwów. Fabryka spłonęła zbombardowana przez hitlerowców, a władza radziecka urządziła w niej działającą do dziś wytwórnię okładzin ciernych. Potomków rodu – Stefana i Adama – kazała zaś zabić w roku 1940. Dzieje rodziny Baczewskich to fantastyczny przykład dla dzisiejszych rozważań na temat nowoczesnego patriotyzmu.

Przedstawiciele rodu znajdziemy i w powstaniu styczniowym, i w obronie Lwowa w 1920 roku. Jednak nie był to patriotyzm zaściankowy. Baczewscy jechali do Wiednia i Paryża studiować chemię i ekonomię i wracali do Lwowa, by tu wykorzystywać swoją wiedzę. Byli Polakami i lwowianami, ale zarazem Europejczykami całą gębą.

Kiedy w 1830 roku Eneas Coffey uruchomił pierwszą na świecie aparaturę do wytwarzania spirytusu w podwójnej kolumnie rektyfikacyjnej, Baczewscy już w dwa lata później mieli u siebie kopię tej maszyny. Dzięki temu mogli jako pierwsi na ziemiach polskich produkować likiery i aperitify – pastis, absynt, curaçao.

U zarania II Rzeczypospolitej Baczewscy przeprowadzili pierwszą profesjonalną kampanię reklamową w dziejach Polski. Zamówili w agencji Podbój kilkadziesiąt ręcznie rysowanych reklam pojawiających się w różnych czasopismach. Różnorodność i estetyka reklam zachęcały do ich kolekcjonowania, ale dla zebrania pełnej kolekcji trzeba było na nie polować w pismach ilustrowanych. Firma zawsze była też skora do sponsorowania ludzi kultury – w 1925 roku sfinansowała dość dziwne przedsięwzięcie, jakim był miesięcznik „Winnica”, poświęcony *wszystkim aspektom kobiecości*, założony m.in. przez Jasieńskiego, Hemara i Makuszyńskiego. Ta postawa sprawiła, że ludzie pióra chętnie używali słowa *Baczewski* jako synonim wódki w ogóle.

W lwowskim „Szczutku” ukazała się np. satyra przedstawiająca dwóch czekistów. Starszy stopniem pyta młodszego: *A towarzysz w Polsce na dywersji był? A Baczewskiego przywiózł?* Baczewski pojawiał się też w satyrach Hemara i Tuwima, które unieśmierteliły tę firmę.

Może kiedyś i my doczekamy się firm prowadzonych od sześciu pokoleń przez jedną rodzinę – doczekamy się też i prywatnych sponsorów kultury.

* Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w 1984 r. poświęciliśmy dużą część numeru CL 2/95.

Czytelnicy spotkali się zapewne z wyrobami firmy SZPS POLMOS w Starogardzie Szczecińskim, produkowanymi na recepturach Baczewskiego, przede wszystkim z wspaniałym krużnikiem (niebo w gębie!). Niestety od paru lat nie można ich w Krakowie dostać. Co się stało, czy zaprzestano ich produkcji? Może Czytelnicy zamieszkali w szczecińskich stronach coś wiedzą? Bardzo nam tego brakuje!

25 sierpnia 2002 r. zmarła w Rzymie w wieku 104 lat

śp. hr. KAROLINA LANCKOROŃSKA

Żyła w XIX, XX i XXI wieku (1898–2002)

Ostatnia z rodu z Brzezia Lanckorońskich, Pani na Komarnie w Ziemi Lwowskiej, córka hr. Karola Lanckorońskiego z Rozdołu oraz x. Małgorzaty Lichnowsky.

W i e l k a P o l s k a D a m a

Dr historii sztuki, do II wojny docent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Po wojnie wyróżniona doktoratem h.c. Uniwersytetów Jagiellońskiego i Wrocławskiego. Profesor PUNO w Londynie, członek PAU.

Wraz ze swym bratem Antonim i siostrą Adelajdą była założycielką Fundacji Lanckorońskich oraz współzałożycielką Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, które – zwłaszcza w najtrudniejszych latach niewoli komunistycznej – wspomagały naukę i kulturę polską i polskich uczonych.

Ofiarodawczyni ponad 150 cennych dzieł sztuki, pochodzących ze zbiorów wschodniomałopolskich pokoleń rodów Rzewuskich i Lanckorońskich dla zamków królewskich na Wawelu i w Warszawie.

W czasie II wojny była członkiem AK we Lwowie w stopniu porucznika, skazana na karę śmierci, więźniarka obozu w Ravensbrück. Po wyzwoleniu wstąpiła do armii gen. Andersa. Napisała „Wspomnienia wojenne”.

W latach powojennych mieszkała i pracowała dla Polski w Rzymie.

Pogrzeb w dn. 12 IX na cmentarzu Campo Verano w Rzymie prowadził ks. kard. Marian Jaworski.

Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie

Spraw Boże, by z Nieba mogła się ucieszyć powrotem prawowitych gospodarzy do kościoła w Komarnie, czego nie doczekała za długiego życia.

O Karolinie Lanckorońskiej pisaliśmy w CL 4/97 i 3/98, a o Jej książce w CL S/01. Obszerne wspomnienia o Zmarłej znaleźliśmy w „Gazecie w Krakowie” z 12 IX oraz w „Dzienniku Polskim” 208/02.

Paweł Pencakowski

OSTATNI LIST

25 sierpnia zmarła w Rzymie w 105. roku życia Prof. Karolina Lanckorońska. W licznych wypowiedziach związanych z tym smutnym wydarzeniem podkreślano niezłomny charakter i gorący patriotyzm wielkiej polskiej uczoney. Przypomniane zostało Jej uczestnictwo w Armii Krajowej oraz dalsze wojenne losy: uwięzienie w Stanisławowie i we Lwowie, wreszcie w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück, jak również – po wydostaniu się z obozu – udział w bojach II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Podnoszone były ogromne zasługi Profesor Lanckorońskiej dla nauki i kultury polskiej, którym służyła do ostatnich dni życia, swą wiedzą i wielkim sercem, jak też całym majątkiem i gromadzonymi przez pokolenia dziełami sztuki (wzbogaciły one Zamek Królewski na Wawelu i Zamek Warszawski).

Urodzona w Austrii, wychowana i wykształcona w Wiedniu, wybrała Polskę i Lwów jako miejsce pracy zawodowej i kariery światowej rangi historyka sztuki oraz wybitnego nauczyciela akademickiego na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Była więc w jakimś sensie lwowianką z wyboru i wyborowi temu pozostała wierna do końca swego długiego życia. Warto w tym kontekście przypomnieć, że uroczystości pogrzebowe Karoliny Lanckorońskiej, które odbyły się w Rzymie, prowadził kardynał Marian Jaworski, arcybiskup metropolita łaciński Lwowa.

Miałem zaszczyt poznać osobiście Panią Profesor przed dwunastu laty, jako stypendysta utworzonej przez Nią Fundacji Lanckorońskich. Jak wielu innych historyków sztuki i historyków korzystałem wówczas z Jej szczodrości i gościnności.

Teraz wracam pamięcią do niezapomnianych wieczornych spotkań, celebrowanych przez Nią w prawdziwie staropolski sposób w Jej rzymskim mieszkaniu przy ul. Virgilio Orsini. Tematem stale wracających w naszych ówczesnych rozmowach był Lwów, ten dawny Lwów sprzed i z czasu wojny, miasto moich rodziców, miasto w którym Karolina Lanckorońska pracowała, w którym prowadziła działalność konspiracyjną i charytatywną, skąd też została wywieziona, aby do Polski już nie wrócić. Wspominała swoje młode lata, majątek w miejscowości Chłopy (pod Komarnem, gdzie założyła szkołę dla wiejskich dzieci), uczelnię, oraz wydarzenia czasu okupacji sowieckiej i niemieckiej; te ostatnie znane dziś stosunkowo dobrze dzięki wydanej niedawno Jej autorstwa książce *Wspomnienia wojenne*. Przeplatało się to wszystko z tym, co ja zapamiętałem z domowych opowieści, i w ten sposób daleko, nad Tybrem, niejako w cieniu majestatycznej kopuły Św. Piotra, odżywało to jedyne, niezapomniane miasto. Katedra łańciska, Uniwersytet Jana Kazimierza, Politechnika, Ossolineum, kościół św. Antoniego, Arsenał Królewski i Dominikanie, Łyczakowska i Łąckiego, Cmentarz Orłąt i Pohulanka, Rynek i Cerkiew Wołoska, Teatr i Wysoki Zamek, elegancy panowie i honorowe lwowskie batiary, profesorowie i przekupki, najpiękniejsze kobiety polskie i żołnierze AK, wywózki i więzienia, deportacje i egzekucje... przesuwała się przed oczyma cała panorama polskiego Lwowa oraz jego radosnej, a potem tragicznej i zarazem bohaterkiej historii.

Po powrocie z Włoch utrzymywałem z Panią Profesor kontakty okolicznościowe, wysyłając kartki z podróży i z okazji świąt, czasem krótki list (Adresatka prowadziła bogatą korespondencję i nie lubiła zbyt długich epistoł).



Pałac Karoliny Lanckorońskiej w Chłopach k. Komarna (stan z roku 1992). Zdjęcie przedwojenne pokazaliśmy w CL 5/01

Te wszystkie wieczory i rozmowy rzymskie przypomniały mi się w czasie dwóch moich ostatnich pobytów we Lwowie. Byłem tam najpierw w końcu kwietnia '02 ze studentami Wydziału Konserwacji Dzieł Sztuki krakowskiej ASP, gdzie pracuję, a następnie w połowie lipca – prywatnie. Podczas tej drugiej, cztero-dniowej wyprawy zrobiłem kilkadziesiąt zdjęć, korzystając ze wspaniałej pogody. Następnie, już w Krakowie, wybrałem kilkanaście z nich i wysłałem do Rzymu – zbliżyły się bowiem 104. urodziny Pani Profesor – z myślą, że sprawię Jej przyjemność. I oto po kilku dniach otrzymałem odpowiedź: krótki list – wydruk z komputera – z charakterystycznym i dobrze mi znanym podpisem, położonym na papierze drżącą dłonią. Zgodnie ze swą zdolnością do syntezy i trafnego określania spraw, dała w nim Profesor Lanckorońska wyraz swych uczuć w stosunku do Miasta, w którym mieszkała przez lat kilkanaście i które opuściła na zawsze sześćdziesiąt lat temu. Można mniemać, że jest to Jej ostatnia tego rodzaju wypowiedź, a zatem jakiś testament czy świadectwo.

Tym listem Karoliny Lanckorońskiej, który wraz z Jej śmiercią przekształcił się z mej osobistej pamiętki w cenną relikwię, chciałbym się dziś podzielić ze wszystkimi, którym bliskie jest Jej ukochane Miasto.

Karolina Lanckorońska
 INSTITUTUM HISTORICUM POLONICUM ROMAE
 19 via Virgilio Orsini – 00 192 Roma (...)

Rzym, dnia 30 VII 2002

Szanowny Panie Doktorze,
 Serdecznie dziękuję za wspaniałe fotografie mojego ukochanego Lwowa.

Najpiękniejsze wspomnienia, jakie zachowałam w pamięci, związane są z tym miastem, a zwłaszcza z Uniwersytetem Jana Kazimierza. Są one we mnie wciąż żywe i tak mi drogie. Jakże miło więc słyszeć, że mój Lwów, mimo smutnych lat, nie stracił zupełnie swego dawnego uroku. Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie.

(–) Prof. Karolina Lanckorońska

Artur Hausner i rodzina z Kończone

Wśród lwowskich Hausnerów przewija się osoba Artura Walentego Hausnera. Mimo że związany ze Lwowem, pochodził prawdopodobnie z innej rodziny o tym nazwisku niż opisywani już brodzy kupcy czy też Otton Hausner. Urodził się 11 listopada 1869 roku we wsi Kończone k. Niska w rodzinie dzierżawcy Karola Hausnera i Franciszki z Bochenków. Możliwe, że istnieją związki tej rodziny z Hausnerami z Tarnawca k. Leżajska – zamieszkałą w Krakowie i Podgórzu od lat 70. XIX wieku rodziną o tym nazwisku.

Artur Hausner ukończył gimnazjum w Krakowie, gdzie zaangażował się w kierownictwo tajnej organizacji samokształceniowej. W trakcie studiów na Politechnice Lwowskiej zetknął się ze środowiskiem działaczy socjalistycznych, a szczególnie wpływ wywarł nań Ignacy Daszyński. Po ukończeniu studiów w Zurychu otworzył we Lwowie biuro inżynierskie. W zagłębiu naftowym organizował strajki, a związki z Polską Partią Socjal-Demokratyczną (PPSD) i ruchem zawodowym uczyniły z niego – obok Hudeca i Diamanda – przywódcę socjalistycznego na terenie Lwowa i Galicji Wschodniej. W roku 1905 wyjechał potajemnie do Warszawy, uczestnicząc w rozgrywających się tam wydarzeniach i agitując robotników¹.

W tym czasie Maria Ewa Grekowicz, późniejsza żona Artura Hausnera, miała 16 lat. Urodziła się w 1889 r. w Buczaczu. Jej ojcem był Józef Adam Grekowicz, pułkownik w powstaniu styczniowym i inżynier wydziału powiatowego w Buczaczu, matką zaś Kamila z Wasylewskich. Maria Ewa w roku 1909 ukończyła Seminarium Nauczycielskie Z. Strzałkowskiej we Lwowie, a po dwóch latach pracy zdała egzamin kwalifikacyjny. Od dzieciństwa wykazywała zdolności literackie i malarskie. To zapewne sprawiło, że w końcu nie została nauczycielką, a od 1912 r. podjęła pracę dziennikarską w lwowskim „Dzienniku Polskim”. Równocześnie uczęszczała na kursy malarstwa do Szkoły Przemysłowej, a potem do Wolnej Akademii Sztuk Pięknych we Lwowie. Jej zdolności zostały zauważone, skoro w latach 20. i 30. swoje pejzaże marynistyczne wystawiała w lwowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych. Pracując w okresie 1916–19 w „Gazecie Porannej i Wieczornej” pisała felietony, kronikę, sprawozdania z życia miasta, publikowała przekłady z prasy niemieckiej. W tych latach poznała Artura Hausnera².

Artur w roku 1914 został z ramienia PPSD członkiem Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN), który utworzono 15 sierpnia. Hausner w sprawie Legionu Wschodniego stanął po stronie NKN i J. Piłsudskiego³. 8 listopada 1914 delegacja NKN złożona z prof. Mariana Raciborskiego, dr. Feliksa Młynarskiego i inż. Artura Hausnera wyjechała z Krakowa do USA celem przedstawienia mieszkającym tam Polakom sytuacji w kraju. W Zurychu Raciborski zachorował i powrócił do Krakowa.

Sytuacja na terenie amerykańskim była trudna. Powstały w 1912 r. Komitet Obrony Narodowej był rozbity i atakowany przez przeciwnych Legionom zwolenników Narodowej Demokracji. W pierwszych miesiącach A. Hausner odbył szereg konferencji, m.in. z biskupami Rhodem i Kozłowskim, z Zarządem „Sokoła” i Związku Narodowego Polskiego oraz Organizacją Polek, proponując wspólne działanie całej polskiej emigracji. Ośmiomiesięczny pobyt zaowocował ponadto kilkudziesięcioma wiecami w 40 miejscowościach (m.in. w Milwaukee, Chicago, Detroit), na które – jak relacjonował sam Hausner – nie przychodził, *aby słuchaczy poić pięknymi frazesami, ani aby krytykować różne domorośle czy importowane orientacje. Ale celem jego było na podstawie faktów wysnuć wnioski co do dzisiejszych obowiązków Polaka wobec Polski. Ze słów Hausnera biła prawda serdeczna i zapalna.* Był to – według Jeziorańskiego – *doświadczony działacz socjalistyczny, szczerą, otwartą naturą, doskonałym mówcą ludowy; odzwierciedlał i propagował idee pierwszej brygady legionowej.* Napisane w czasie wypełniania misji NKN cztery broszury rozeszły się w 80 tysiącach

egzemplarzy. Rzucona myśl zorganizowania na czas wojny stałej szkoły wojskowej dla młodzieży polskiej została zrealizowana w październiku 1915 roku⁴. Po powrocie z USA opisał Hausner polską emigrację w Ameryce i swoją działalność w wydanej w Krakowie książeczce, natomiast sam wstąpił do Legionów Polskich, do kompanii saperów. Kontynuował działalność polityczną i odegrał pewną rolę jako zwolennik przystąpienia postów socjalistycznych do Koła Polskiego w wiedeńskim parlamencie w 1916 roku.

Po kryzysie przysięgowym w roku 1917 ukrywał się przez pewien czas w Warszawie. Aresztowany przez władze niemieckie, odesłany został następnie do Galicji celem wcielenia do armii austriackiej, uchylił się jednak od służby wojskowej pod pretekstem choroby. Po zawarciu pokoju brzeskiego przybył do Lwowa, gdzie brał udział w organizowaniu manifestacji protestacyjnych. Ostro zaatakował Niemców na łamach wydawanego przez siebie tygodnika „Głos Robotniczy”.

W listopadzie 1918 r. włączył się do organizacji cywilnych władz we Lwowie i w Tymczasowym Komitecie Rządzącym objął resort kolei i dróg⁵.

Podczas walk o Lwów Artur Hausner uczestniczył w rokowaniach z Ukraińcami. Prowadzono je ze względu na ludność cywilną, dla której zbrojne działania były dotkliwe. Pierwsza tura rozmów została zerwana 13 listopada; strona ukraińska żądała rozbrojenia polskich oddziałów i uznania suwerenności Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Druga tura przyniosła 18 listopada zawieszenie broni. W tym czasie dotarli do Lwowa wieści z Ukrainy wschodniej – Dyrektoriat z Semenem Petlurą ogłosił obalenie atamana Skoropadskiego. Delegacja polska m.in. z Tadeuszem Cieńskim, Leonardem Stahlem i Arturem Hausnerem stanęła wobec twardego stanowiska Ukraińców w sprawie suwerenności państwa ukraińskiego. 21 listopada skończył się rozjem, rozpoczęła się polska ofensywa. Ukraińcy postanowili opuścić Lwów⁶.

Walki w Małopolsce trwały jeszcze przez następne miesiące, przy czym w lutym 1919 r. ponownie poważnie zagrożony był Lwów. Sprawa była przedmiotem działania misji brytyjskiej, a tak-

że została poruszona podczas obrad konferencji wersalskiej. 20 lutego w Sejmie odbyła się debata na temat polskiej polityki wobec wschodniej Galicji. Konieczność utrzymania Lwowa w granicach Polski uznawali przedstawiciele niemalże wszystkich sił politycznych. Rozbieżności istniały w sprawie całego obszaru. Artur Hausner zwrócił uwagę, że problemu polsko-ukraińskiego nie można rozwiązać przy pomocy miecza, że za cenę, nie powiem za każdą, ale za cenę, którą musimy dokładnie rozważyć (...) powinniśmy dążyć do zgody między Ukraińcami a Polakami (...). *Wszyscy, którzy tu radzimy nad tą sprawą i myślimy o granicach wschodnich, musimy mieć na uwadze, jaką rolę odegrałaby Rosja w dawnych granicach. Rosja oparta o Morze Czarne, obejmująca 30 milionów Ukraińców. Byłaby ona straszną potęgą, która by zawsze zagrażała Polsce. Koncepcja wolnej Ukrainy jest dla nas jedyną*⁷.

Będąc działaczem politycznym, A. Hausner zaangażował się równocześnie w prace nad odrodzeniem państwowości polskiej. W styczniu 1919 r., na miejsce zmarłego J. Hudeca, został wybrany z jednego z lwowskich okręgów na posła do Sejmu Ustawodawczego. Uczestniczył w pracy komisji gospodarczych i technicznych, współdziałając m.in. przy opracowaniu ustawy wodnej. W czerwcu 1920 r. był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Robót Publicznych. W roku 1922 ponownie został wybrany do Sejmu z miasta Lwowa. Interesując się sprawami miejskimi i zasiadając w lwowskiej Radzie Miejskiej, był jednym z twórców ustawy o rozbudowie miast i delegatem Lwowa do Związku Miast Polskich. Wchodził w skład Związku Parlamentarnego Socjalistów Polskich. W r. 1928 został posłem z listy państwowej PPS. W 1919 r. założył organ PPS we Lwowie „Dziennik Ludowy”, którego był redaktorem naczelnym aż do jego zlikwidowania w r. 1934⁸.

W tym samym roku Artur Hausner pojął za żonę Marię z Grekowiczów, która równocześnie rozpoczęła pracę w redakcji dziennika, a w 1928 wydała powieść „Zielone okiennice”, gdzie w postaci Nordena zaprezentowała wyidealizowany portret męża. Maria Hausnerowa publikowała artykuły literackie w krakowskim IKC, lwowskim „Świecie Kobiectw” i warszawskiej „Polityce”. Była sekretarzem oddziału lwowskiego Związku Literatów Polskich, członkiem zarządu Towarzystwa Sztuk Pięknych i Związku Artystek Polskich oraz członkinią Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich⁹.

Po rozłamie w lwowskiej organizacji PPS w 1938 r. Hausnerowa wystąpiła z partii. Niedłu-

go potem, 20 marca 1939 r., zmarła i została pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim¹⁰.

Artur Hausner jako człowiek zaangażowany w historyczne wydarzenia przełomu XIX i XX stulecia, wszedł w skład Komitetu Obywatelskiego dla prowadzenia, ochrony i ewidencji materiałów do historii b. Galicji, utworzonego w kwietniu 1937 r. Członkami Komitetu zainicjowanego przez Pracownię Naukową Zakładu im. Ossolińskich byli także m.in. dr Stanisław hr. Badeni, profesorowie Franciszek Bujak, Jan Gwalbert Pawlikowski i Stanisław Głabiński, Bolesław Wyślouch¹¹. W listopadzie 1936 r. Hausner przebywał w Krakowie, uczestnicząc w pogrzebie Ignacego Daszyńskiego.

Po 17 września 1939 roku, wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemię Rzeczypospolitej i zajęciu Lwowa, Artur Hausner pozostał w mieście. H. Wereszycki podaje, że został aresztowany. Tymczasem z pracy L. Podhorodeckiego wynika, że mogło być inaczej. Terror i represje sowieckie z jesieni i zimy 1939 roku sprawiły, że w styczniu 1940 r. powstała we Lwowie, podporządkowana rządowi emigracyjnemu, tajna Rada Narodowa. W jej skład wchodził: Artur Hausner, Józef Panas, ks. Adam Bogdanowicz, płk dr Aleksander Domaszewicz, Stanisław Wasylewski i Jan Szczyrek. Rada była przeciwna próbom zbliżenia polsko-sowieckiego, co traktowała jako zdradę. Miała duże wpływy wśród inteligencji twórczej¹².

Artur Walenty Hausner zmarł 16 września 1941 roku, prawdopodobnie w Woroneżu, gdzie przebywał zatrzymany przez władze sowieckie. Jego córkę los rzucił do Wielkiej Brytanii, gdzie przebywało wielu znających Hausnera działaczy socjalistycznych. Jerzy Lerski, wspominając koniec roku 1944 i ówczesnego premiera rządu na uchodźstwie Tomasza Arciszewskiego, pisał: *Starszy pan miał zresztą wyraźnego feblika dla dzieci swych socjalistycznych towarzyszy (...). Serdecznie też powitał przybyłą z Rosji córkę lwowskiego działacza PPS, p. Hausnerównę*¹³.

Zbierając informacje o A.W. Hausnerze nie przypuszczałem, że uda mi się także poznać losy jego braci, sióstr i ich rodzin. Historia pana Antoniego z Krynicy – żołnierza Armii Krajowej – i odnalezienia ludzi, których prawie nie znał, to temat na odrębną opowieść.

Przypisy

- ¹ Henryk Wereszycki, PSB
- ² PSB
- ³ Jan Rzepecki, *Sprawa Legionu Wschodniego*, Warszawa 1966, s. 85–107, 125, 142–145, 194
- ⁴ Artur W. Hausner, *Emigracja polska w Ameryce w czasie obecnej wojny*, Kraków 1916, s. 12–17; Leon Jeziorański, *Historia wojskowej szkoły podoficerskiej Związku Młodzieży Polskiej w Konarach*, „Niepodległość”, t. VII, 1933, s. 85.
- ⁵ Henryk Wereszycki, op. cit.
- ⁶ Maciej Kozłowski, *Między Sanem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918–1919*, s. 170–181.
- ⁷ Ibidem, s. 234–260.
- ⁸ Henryk Wereszycki, op. cit.
- ⁹ PSB
- ¹⁰ Ibidem
- ¹¹ Wacław Lipiński, *Rząd Jędrzeja Maraczewskiego i zamach 5 I 1919 według relacji z r. 1923 i dokumentów współczesnych*, „Niepodległość”, t. XV, 1937, s. 215.
- ¹² Leszek Podhorodecki, *Dzieje Lwowa*, Warszawa 1993, s. 215.
- ¹³ Jerzy Lerski, *Emisariusz Jur*, Warszawa 1989, s. 188.

Poprzednie odcinki opowieści o lwowskich Hausnerach zamieściliśmy w CL 1/99, 3/99, 1/02.

A P E L

ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego

Drodzy Ormianie i Przyjaciele Ormian!
Bari luis!

Otrzymałem informację od redakcji Telewizji Polskiej, że rozważana jest możliwość realizacji filmu dokumentalnego o arcybiskupie ormiańskim Józefie Teodorowiczu. Reżyserem byłby Tadeusz Szyma z Krakowa, autor wielu filmów dokumentalnych; rok temu nadawany był jego Książę Niezłomny o kardynale Adamie Stefanie Sapieżu, wielkim przyjacielu Teodorowicza.

W związku z tym proszę o informacje, czy ktoś z Państwa:

■ posiada pamiątki rodzinne, listy, zdjęcia archiwalne Teodorowicza?

Archiwum

ŁGARSTWO NA KAŻDYM KROKU

Dla jeszcze lepszego zobrazowania postawy K u r o n i a wobec polskości, przypomnijmy fragment rozmowy R. Falkiewicza („Myśl Polska 11 X 1997) z dr. Stanisławem Kaniewskim, prokuratorem, zastępcą dyrektora ds. śledczych Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie.

[...] A jakby pan dyrektor odniósł się do fragmentu wywiadu z Jackiem Kuroniem, który na łamach „Gazety Wyborczej” (16–17 września br.) powiedział m.in.:

Kiedy w ramach akcji „Wisła” wysiedlano ludzi, ukraińską inteligencję, a także ludzi, którzy na oko wydawali się liderami społeczności, kierowano ich do obozu w Jaworznie. Tam siedzieli młodzi chłopcy z AK, trochę Niemców, ale głównie Ukraińcy. Wymordowano tam ileś osób. Sąd w Katowicach orzekł, że w obozie w Jaworznie stosowano metody ludobójcze.

■ pamięta osobę Teodorowicza, np. Jego kazania i msze św. lub też zna osoby, które mogłyby opowiedzieć o Teodorowiczu do kamery?

■ brał udział w pogrzebie 10 grudnia 1938 r.?

■ zna bliższych lub dalszych krewnych Teodorowicza?

Film poruszy także historię Ormian w Polsce, w tym również problemy nowej emigracji.

Byłbym wdzięczny za wszelkie informacje, a także za sugestie lub uwagi.

Serdecznie pozdrawiam. Szczęść Boże!
Park Ter Astwadz mer!

ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
Duszpasterz Ormian, Prezes Fundacji św. Brata Alberta

Fundacja im. Brata Alberta
Radwanowice 1, 32-064 Rudawa
tel/fax (12) 283-90-80, 283-87-59, 602 791-78

No więc Ukraińcy, którzy przeżyli obóz w Jaworznie, domagają się dziś odszkodowań kombatanckich. I ta sprawa przegrywa na każdym głosowaniu w Sejmie, ostatnio przegrała też w Komisji Badania przeciwko Narodowi Polskiemu. (...).

Odpowiedź S. Kaniewskiego:

– Cóż można powiedzieć o takiej niewiedzy, wygłoszonej przez szefa poselskiej komisji ds. mniejszości narodowych [był nim wtedy J. Kuroń – przyp. red.]? Jej autor wykazał brak znajomości tematu. Powtarzam raz jeszcze: Centralny Ośrodek Pracy w Jaworznie był aresztem najpierw dla hitlerowców obciążonych zbrodniami przeciwko Polakom podczas okupacji naszego kraju. Po ich odejściu kierowano tam ukraińskich nacjonalistów z sankcjami wojskowych prokuratur za morderstwa na ludności polskiej w granicach ówczesnej PRL, za działalność dywersyjną przeciw państwu polskiemu i sprzyjanie oraz udzielanie pomocy UPA przez mieszkańców pochodzenia ukraińskiego.

[...]

Manipulowanie faktami i śledczymi rozstrzygnięciami w tej sprawie jest nadużyciem. Prowadzi bowiem do umniejszania rozmiarów zbrodni popełnionych na Polakach w granicach II Rzeczypospolitej, jak też na obszarach PRL-u po zakończeniu wojny. Takie postępowanie nie służy sprawie zbliżenia naszych narodów, przeinaczanie prawdy o czasach grozy, zamazywanie ogromu krzywd rozjątrza tylko niezabliźnione rany, pogłębia przepaść. Jest to więc metoda destrukcyjna, prowadząca donikąd, której jestem przeciwny.

Mamy więc kolejny dowód, że Kuroń stara się wykorzystać każdą okazję, by w złym świetle przedstawić Polskę i Polaków. Podobne wypowiedzi są skwapliwie publikowane przez „Gazetę Wyborczą”. A propos: po obrzydliwym artykule Kuronia w GW (23 maja '02) na temat Cmentarza Obrońców Lwowa w tej samej gazecie złożył mu serdeczne podziękowanie Paweł Smoleński, autor artykułów, które przez sam dobór tematów i sposób ich przedstawienia mają jednoznacznie antypolski wydźwięk. Dlaczego ta gazeta jest zainteresowana w uprawianiu takiej właśnie polityki? Kim jest pan Smoleński?

SYLWETKI

BISKUP IN PETTO

W 10. rocznicę śmierci ks. Jana Cieńskiego

Urodził się w 1905 r. w rodzinnym majątku Pieniaki, w powiecie brodzkim. W roku 1928 ukończył studia rolnicze w Dublinach, a następnie podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Tych nie ukończył, bo w 1933 r. zgłosił się do lwowskiego Seminarium Duchownego. Wyświęcony przez abpa Twardowskiego w 1938 r. rozpoczął pracę duszpasterską w Złoczowie, gdzie pozostał nieprzerwanie przez lat ponad pięćdziesiąt, aż do śmierci.

Jego posługa kapłańska przypadła na ciężki okres trzech okupacji – sowieckiej, niemieckiej i znowu sowieckiej. Nie wyjechał ze swojej małej ojczyzny, pozostał razem z wiernymi. W latach powojennych – najtrudniejszych, ponieważ wielu pracujących tu kapłanów zostało zesłanych do obozów pracy i łagrów – sam odwiedzał chorych na terenie pięciu województw: lwowskiego, tarnopolskiego, rówieńskiego, wołyńskiego i chmielnickiego. Służył posługą duszpasterską nie tylko katolikom obrządku łacińskiego, ale każdemu, kto takiej posługi potrzebował. Był na każde zawołanie w dzień i w nocy. Ludzi starszych i chorych otaczał nie tylko opieką, lecz krzepił ich duchowo, a często pomagał materialnie.

50-lecie święceń kapłańskich ks. Jana Cieńskiego (klęczy w środku); z prawej bp. Rafał Kiernicki, 1988 r.



Kościół złoczowski nigdy nie był pusty, a w święta ludzie stali nawet na ulicy.

Kiedy wiosną 1944 r. nacierająca armia sowiecka toczyła ciężkie walki z wojskami niemieckimi, poszczególne miejscowości przechodziły kolejno z rąk do rąk, a podobny los spotkał też Złoczów. Ksiądz Jan w nocy wyniósł z pola walki ciężko rannego wyższego oficera NKWD i z narażeniem własnego życia przez pewien czas przechowywał go u siebie. W uznaniu jego męstwa i poświęcenia władze sowieckie przyznały mu glejł nietykalności osobistej. Księdza Jana atakowano niejednokrotnie w lokalnej prasie, nikt jednak nie odważył się podnieść na niego rękę.

W 1988 r. obchodził ks. Jan Cieński 50-lecie święceń kapłańskich – jak na owe czasy uroczystość, gdyż władze zgodziły się na udział kilku księży ze Lwowa, co wówczas było rzadkością. W najtrudniejszym okresie prześladowań życia religijnego umiał zdobyć sobie autorytet nawet u władz.

30 czerwca 1967 r. podczas pobytu w Polsce został konsekrowany przez Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego na biskupa dla wiernych obrządku łacińskiego. Niejawna uroczystość odbyła się w kaplicy arcybiskupiej w Gnieźnie. Godność biskupia ks. Jana Cieńskiego nie została publicznie ogłoszona aż do jego śmierci.

Ostatnie dwa lata ks. Jan ciężko chorował i po długim cierpieniu 26 grudnia 1992 r. odszedł do Pana Boga po nagrodę. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Złoczowie.

Odszedł jeden z najstarszych kapłanów odradzającej się Archidiecezji.

Anna Bidna (Złoczów)

Prośmy Boga, by Kościół nasz uznał heroiczność cnót Biskupa Jana. Będziemy się o to modlić.

KOLEKCJONERKA

Jest we Lwowie ulica Heleny Dąbczańskiej (choć dzisiaj nosi jakieś tam przezwiśko), pnie się ostro w górę ku Cytadeli od zbiegu Chorążczyzny i Ossolińskich. Dawniej nazywała się Cytadelną, a jeszcze wcześniej ulicą Biblioteki – bo obok (z tyłu) Ossolineum. Ale już w latach międzywojennych, uznając dokonania znakomitej właścicielki

i mieszkanki domu pod nrem 3, ulicy nada-
no jej nazwisko.

Helena Dąbczańska (a przez krótki czas
po mężu Budzynowska) urodziła się w roku
1863 we Lwowie jako córka Antoniego i Na-
talii z Lakiewiczów. Była krewną Artura Grot-
gera i generała Józefa Bema (który zapro-
jektował sąsiedni gmach Ossolineum). Oj-
ciec Heleny, majątny adwokat, był wielkim
patriotą i działaczem politycznym.

Pasję kolekcjonerską miała niemal od
dzieciństwa. Przez całe życie zgromadziła
pokaźną ilość książek, w tym inkunabułów
i rycin. W jej ponad 20-tysięcznej bibliotece
znalazły się nabyte księgozbiory po znako-
mitych zbieraczach, m.in. Radziwiłłów z Za-
grobeli (k. Tarnopola), generała Jana Witte,
Potockich, Lubomirskich, Rzewuskich, Lesz-
ka Borkowskiego, a nawet Konopków z Mo-
gilan. Zbierała rysunki i obrazy artystów
polskich i obcych (miała ich przeszło 800),
poczynając od rycin Rembrandta i obrazów
Salvatora Rosy, aż po lwowskich malarzy –
Odoną Dobrowskiego (brata G. Zapol-
skiej), St. Reichana i Marcelego Maszkow-
skiego. Kolekcjonowała ceramikę (400 szt.
porcelany), tkaniny i meble, nazbierała parę
tysięcy drobnych przedmiotów artystycznych
codziennego użytku. Jednym z działów jej
zbieractwa była sztuka Huculszczyzny, któ-
rej czarowi uległa, podobnie jak wielu jej
współczesnych.

Cały ten zbiór wypełniał lwowską willę
kolekcjonerki. Mieszkanie to przez wiele lat
pełniło rolę prywatnego muzeum, było po-
dziwiane przez koneserów odwiedzających
Lwów, było miejscem spotkań elity miasta –
świata nauki, literatury, muzyki, malarstwa
i teatru oraz grona jej przyjaciół podczas tzw.
„niedzielnego poranków artystycznych”.

Przez pewien okres – w latach dwudzie-
stych – mieszkała Dąbczańska w Krakowie,
na Wawelu, którego muzeum ofiarowała
część swoich zbiorów, podobnie jak kilku
inym wybranym, w tym Muzeum Jana III
we Lwowie, w Poznaniu i Tarnopolu. Rychło
jednak wróciła do Lwowa i tam zastała ją
okupacja. Po wojnie osiadła w Krakowie i tu
zmarła (w Zakładzie Helclów) w 1956 r.
Spoczęła na Cmentarzu Rakowickim w kwa-
terze zasłużonych.

Helena Dąbczańska zostawiła *Pamiętnik*,
który został przedrukowany w Roczniku Bi-
blioteki PAN w 1963 r.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BEREZÓW

Cztery wsie: Berezów Średni, Wyżny i Niżny
oraz Bania Berezów, położone w pow. kołomyj-
skim, woj. stanisławowskim. Leżą w obrębie Be-
skidu Huculskiego, w dolinie rzeczki Luczki.

Nazwa Berezów pojawia się po raz pierwszy
w 1405 r., B. Niżny w 1482, B. Wyżny w 1515,
Bania B. także w XVI w. Berezów Średni został
wydzielony z Wyżnego dopiero z pocz. XX w.
Z końcem XVIII w. dzierżawcą tych wsi był
hr. Ignacy Cetner, a od 1799 r. była to własność
kamelarna. Liczba ludności wynosiła w 1. poł.
XIX w. łącznie ok. 3150, z czego w B. Wyżnym
ponad 1800.

Berezów stanowił gniazdo rodowe Berezow-
skich h. Sas. W Berezowach znajdowały się za-
ścianki polskiej szlachty zagrodowej (głównie
w Niżnym) o nazwiskach m.in. Drohomirecki,
Holyński, Małkowicz, Podhorodecki, Skulski, So-
latorycki, Urbanowicz. Istniała tam też gmina szla-
checka, w 1870 r. włączona nakazem władz au-
striackich do gmin wiejskich.*

BURKUT

Osiedle nad górnym Czarnym Czeremoszem
w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim, poło-
żone u podnóży gór Czywczyńskich, na wys.
około 1000 m npm., w odległości 40 km od Za-
biego i 55 km od stacji kolejowej w Worochcie.
Są tu obfite źródła silnej szczawy wapniowo-
magnezowej. Nazwa *Burkut* pochodzi z gwary hu-
culskiej i oznacza kwaśne źródło (węg. *bor* – wino,
kut – źródło) z którego miejscowość ta zasłynęła
już w XVII w. Pierwsza wzmianka o Burkucie
pochodzi z czasów Zygmunta III Wazy, kiedy to
w dokumentach w Kosowie zanotowano, iż miesz-
czanie z Kut – zapewne Ormianie – pobudowali
sobie tam domki dla letnich wyczasów. Później
przyjeżdżała tam również szlachta z Pokucia i Po-
dola. Z początkiem XIX w. przebywali tu Józef
Korzeniowski, autor sztuki *Karpaccy górale*, póź-
niej także Wincenty Pol.

Wodę mineralną używano do picia i do ką-
pieli. W 1865 r. zbudowano zakład kąpielowy



TADEUSZ BRZozowski

W piętnastą rocznicę śmierci

Urodził się w roku 1918 we Lwowie (i w lwowskiej rodzinie), zmarł w 1987 r. w Rzymie. W 1936 r. podjął studia w Krakowie na ASP (w latach 1940–1942 w *Kunstgewerbeschule*), a po dyplomie w 1945 r. uczył przez kilka lat rysunku na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Od 1954 r. mieszkał i pracował w Zakopanem, gdzie w latach 1959–61 był dyrektorem Liceum Plastycznego (tzw. szkoły Kenara). Od 1962 do 1979 r. pracował w poznańskiej PWSSP, gdzie uzyskał tytuł profesora.

W latach wojny T. Brzozowski brał udział w przedstawieniach konspiracyjnego teatru Tadeusza Kantora w Krakowie. W jego biografii artystycznej odnajdziemy prace konserwatorskie, projekty tkanin, polichromie sakralne, projekty i realizacje scenograficzne. Był malarzem, rysownikiem, akwarelistą. Zainicjował wiele działań artystycznych, m.in. Salony Marcowe w Zakopanem, a w 1957 r. stał się jednym z założycieli reaktywowanej „Grupy Krakowskiej”. Żywo reagował na wydarzenia artystyczne, podejmował prace twórcze, ryzykując wielką przygodę w dziedzinach, które sam dla siebie odkrywał.

Malarstwo Brzozowskiego ewoluowało od niemal realistycznych portretów i martwych natur, poprzez surrealizującą deformację przestrzeni i formy, aż do wielkich

realizacji malarskich, pełnych koloru, kontrastów, rozwiązań mistrzowskich pod względem technologicznym. To malarstwo o poetyce i wyrazie jedynym w swoim rodzaju, pełne swoistego i zaskakującego humoru, ale ocierające się o dramat i cierpienie – należy do największych zjawisk naszej sztuki. Obrazy i rysunki, pełne kunsztu i aluzji, rysunki podkolorowywane akwarelą – nieuchronnie zmierzały do samotniczego skupienia, do wielu ostatnich, rysowanych i malowanych niemal przed śmiercią szkiców i studiów religijnych.

Tadeusz Brzozowski to nie tylko malarstwo, scenografia, tkaniny, rysunki – to również charyzmatyczna praca nauczycielska i wspomnienie klimatu, jaki stwarzał – pełnego dobroci, przyjaźni i ciepła wobec ludzi, których spotykał.

Skrót biogramu wg książki St. Rodzińskiego *Obrazy czasu*, Lublin 2001

PANI EWA

W CL S/01 donosiliśmy o śmierci krakowskiej aktorki Ewy Sztolcman-Kotlarczyk, z urodzenia kołomyjanki. Obecnie ukazała się książeczka Jej poświęcona pt. *Roznosiła śmiech i miłość* (Kraków 2002), w której Janusz Kotlarczyk, mąż, zgromadził dokumenty, wspomnienia i wiersze Jej dedykowane, a także bogaty zestaw fotografii z całego życia pani Ewy.

Ewa z ormiańskiej rodziny Bohosiewiczów urodziła się w 1928 r. w Kołomyi. Ojciec, dentysta, pochodził z Bukowiny, matka – nauczycielka, organizatorka zespołów żywego słowa – z Gwoźdźca k. Obertyna. Ewa wychowywała się w Kołomyi, po II wojnie w Wieliczce, a wreszcie w Krakowie.

Aktorskiego zawodu uczyła się najpierw od matki (u której zaczynała swą edukację także Zbyszek Cybulski), a w 1950 r. zdała eksternistyczny egzamin aktorsko-estradowy i w tym fachu działała przez całe życie. Występowała w Teatrze Satyryków, w okolicznościowych programach artystycznych, w objazdowych imprezach „Estrady Krakowskiej”, w przedstawieniach dla dzieci – w tym wiele bezinteresownie, dla chorych i niesprawnych. Jej szczególne zasługi to liczne występy o charakterze patriotycznym i w służbie pamięci narodowej.

Zmarła w 2001 r., ulegając bezlitosnej chorobie. Po Jej śmierci, Jej przyjaciółka, aktorka i poetka Maria Przybylska napisała taki wiersz:

PAMIĘCI EWY aktorki, Ormianki

Dobrze wiem ile ją kosztował
(na długo zanim przyszło cierpienie)
ważny bilet do nieba
ale mówić o tym nie trzeba dokładnie...
W rozmowie przedostatniej
o niebie mówiła
niby o dalszym ciągu pięknej pracy
gdzie ról i tekstów dla wszystkich wystarczy
Czemu mam nie wierzyć w tę rajską estradę
jeśli wiem o tym, że przecież od dawna
po tamtej stronie wywiadowców miała
pośród nomadów – aniołów wędrownych
ormiańskich – węgierskich – podolskich...
Dziękuję Temu, Który Czasem rządzi
że umieścił nas w tym samym odcinku
niezbyt szerokiej ścieżki
i w podobnym kręgu migotliwego światła
– teraz będzie mi rażniej
do wspólnego Hajastanu wracać...

PSYCHIATRA, KTÓREGO KOCHANO

W czerwcu tego roku minęła 30. (tak: już trzydziesta!) rocznica śmierci Antoniego Kępińskiego, znakomitego psychiatry, wspaniałego człowieka. Jego ostatnie dramatyczne lata życia (a przeżył ich tylko 54) pamiętamy dobrze, zwłaszcza tu, w Krakowie, gdzie mieszkał i pracował przez ćwierćwiecze.

Antoni Kępiński urodził się w listopadzie 1918 roku w Dolinie, naszym wschodnio-małopolskim miasteczku, stolicy podgórskiego powiatu nad Sukielęm. W Krakowie skończył Liceum Nowodworskiego, po maturze podjął studia lekarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kiedy wybuchła wojna, walczył we Francji i Anglii, był pilotem RAF.

Miał 23 lata, gdy trafił do obozu koncentracyjnego w Miranda de Ebro w Hiszpanii. Autorka długiego i pięknego artykułu o Kępińskim R. Radłowska (z którego czerpiemy te informacje¹⁾) relacjonuje m.in.: *Pisał stamtąd listy do matki – pełne cierpienia, ale i nadziei. Biografowie Kępińskiego są pewni, że właśnie tam doświadczył stanów*

z wodociągami i kotłami do ogrzewania wody oraz pawilon zdrojowy, stajnię i kręgielnię dla gości. W miarę rozwoju innych zdrojowisk Burkut podupadał; po I wojnie pozostał tylko jeden pawilon, ale i ten popadł w ruinę. W okresie międzywojennym Burkut był przysiółkiem wsi Hryniawa. Do czasu II wojny plany odbudowy uzdrowiska nie zostały zrealizowane. Również w latach powojennych niczego tu nie zrobiono.*

BYSTRZEC

Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim, położona nad potokiem o tej samej nazwie, dopływem Czarnego Czeremoszu. Pierwotnie była zapewne sezonowym osiedlem pasterskim, należącym do wsi Krzyworównia, a pierwszy stały osadnik wedle przekazów zamieszkał tam w 1. poł. XVIII w. Jeszcze w latach międzywojennych Bystrzec stanowił przysiółek Żabiego, potem Dzembronia (zob.).

W Bystrzcu znajduje się cerkiew typu huculskiego z 1870–72 r. pw. Zaśnięcia św. Anny. W górnej części doliny był do 1940 r. dom pisarza Stanisława Vincenza (zob. Słoboda Rungurska).*

CENIAWA

Wieś gminna w pow. kolomyjskim, woj. stanisławowskim, położona nad potokiem Olchowiec, dopływem Prutu. Leży 7 km na płn. wsch. od Kołomyi. W latach międzywojennych liczyła ok. 1400 mieszkańców, w tym ponad połowę stanowili rzymscy katolicy, ale we wsi znajdowała się parafia gr.kat. z cerkwią typu huculskiego z roku 1808 pw. Podwyższenia Krzyża św.*

DZEMBRONIA

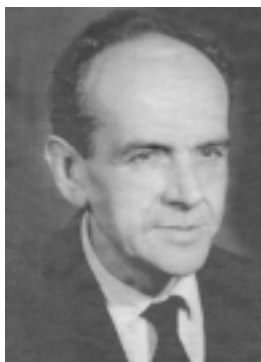
Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim. Pierwotnie była sezonowym osiedlem pasterskim, należącym do wsi Krzyworównia, wyodrębniona w 1872 r., a od 1927 r. jako siedziba gminy.*

DŹWINIACZKA

Wieś w powiecie borszczowskim, woj. tarnopolskim, 30 km na płd. wsch. od Borszczowa. Leży nad potokiem o tej samej nazwie, dopływem Dniestru.

W XIX w. majątek stanowił własność rodziny Kęszyckich h. Nałęcz, najpierw Józefa, ppor. Wojsk Polskich z 1831 r., po nim jego syna Marcina.

Siostra Marcina, Helena z Kęszyckich, żona hr. Eugeniusza Koziębrodzkiego, zaprosiła do Dźwiniaczki b. arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego (beatyfikowanego w 2002 r.) po jego zwolnieniu z zesłania i wy-



psychotycznych. Przeżywał to, co potem leczył u innych. Wiedział więc, co leczy.

Po wojnie kończył studia medyczne na uniwersytecie w Edynburgu. Po powrocie do Polski, w 1947 r. rozpoczął pracę w klinice neurologiczno-psychiatrycznej UJ. Wtedy po raz pierwszy personel kliniki usłyszał, że pacjent jest najpierw człowiekiem, a dopiero później chorym. To była rewolucyjna myśl. Jego myśl.

Stał się postacią znaną. Z czasem został kierownikiem katedry i kliniki psychiatrii Akademii Medycznej². Profesor Kępiński, jako pierwszy w Polsce, zajął się badaniami nad wpływem obozowych przeżyć na psychikę człowieka. Wyniki publikował w „Przeglądzie Lekarskim”. Dwa tomy, które się z tego uzbierały, były dwukrotnie nominowane do pokojowej nagrody Nobla. Ale przede wszystkim był Antoni Kępiński autorem niezwykłych, odkrywczych książek na temat różnych rodzajów chorób psychicznych, wydanych w większości pośmiertnie (osiem z dziewięciu), które spowodowały, że jego sława rosła dalej, już po odejściu Profesora. Uznano go za twórcę *psychiatrii humanistycznej*, a jego książki są nadal analizowane przez psychiatrów, szukających odpowiedzi na jego metodę. Niektórzy zarzucają mu, że był zbyt intuicyjny, a jego

prace nie spełniają warunku naukowości. Ale i jego przeciwnicy i zwolennicy zgadzają się w jednym: był chory na dobroć.

R. Radłowska przytacza wiele przykładów – na podstawie rozmów z byłymi pacjentami Kępińskiego – niezwykłego, niespotykanego gdzie indziej podejścia do pacjentów, postępowania z nimi.

Ludzie do niego uciekali. W latach 50–60. klinika była oazą wolności i tu ludzie czuli się bezpiecznie. Na zewnątrz świat był zniewolony przez rzeczywistość.

Niestety los nie okazał się łaskawy – dla niego i dla jego podopiecznych. Zachorował nieuleczalnie. Ostatnie lata spędził – praktycznie mieszkając – w klinice nefrologicznej prof. Hanickiego. Tam jeszcze przyjmował pacjentów, tam pisał swoje wspaniałe książki, zawsze przyjmowane z ogromnym zainteresowaniem. Zmarł w czerwcu 1972 roku. Spoczął na cmentarzu Salwatorskim. *Kilku jego pacjentów popełniło samobójstwo. Nie wyobrażali sobie życia bez niego. (...) Na to ich nie przygotował, nie uprzedził ich. Nie przewidział, co się z nimi stanie, kiedy odejdzie. Ale swoje najważniejsze zadanie wypełnił.*

Malwina Piskozub

¹ Wydział Lekarski został odłączony od UJ przez komunistycznych reformatorów w 1950 r. Przed kilkoma laty powrócił do macierzystej uczelni jako Collegium Medicum UJ.

² Renata Radłowska, *Żeby nieśpiewający ogórek zaśpiewał* [w:] „Gazeta Wyborcza” 1 VI 2002

Naszym zdaniem

Kto pomyśli perspektywicznie?

Nasze (i pewnie nie tylko nasze) media pełne są informacji i komentarzy na temat naciśków Moskwy w kwestii „korytarza”, łączącego Rosję z jej kaliningradzkim obwodem. Szczęśliwie nie tylko Polska nie zgadza się na to rozwiązanie, także Unia Europejska (oby się tylko nie odmieniło...).

Dziwi nas, że w tej całej sprawie ktoś wreszcie nie zada pytania: czy nie czas, by Rosja wreszcie zrezygnowała z tej kolonii – bazy w samym środku Europy? *Obwód kaliningradzki*, a w istocie okręg królewiecki, nie ma żadnych historycznych, geograficznych ani etnicz-

nych (do czasu brutalnej wymiany ludności) powiązań z Rosją i jest jedną z kilku – może najbardziej wynaturzoną – zdobyczą wojenną Moskwy, usankcjonowaną oczywiście układami jałtańskimi. Dziwi nas, że państwa zachodnioeuropejskie, które – nie bez „pomocy” byłego ZSRR – musiały się pozbyć swoich kolonii, nie poruszają tego tematu. Ze strachu?

Gdyby doszło do wycofania się Rosji z Królewca, okręg ten stał by się na pewno przedmiotem pretensji kilku państw – Polski, Litwy i – nie mamy wątpliwości – Niemiec. Warto by przeto pomyśleć, czy nie powinien tam powstać *dystrykt unijny* – Bruksela „B” dla całej wschodniej, granicznej części Europy, od Finlandii po Grecję. Miejsce kapitalne.

Jan Reiter

Z TAMTEJ STRONY

CZY MOŻEMY BYĆ SPOKOJNIEJSI?

W „Rzeczypo;spolitej” 150/02 zamieszczono wywiad udzielony red. K. Skowrońskiemu przez ks. kardynała Mariana Jaworskiego. Rozmawiano o pielgrzymce Ojca św. na Ukrainę i do Lwowa, o problemie języka w kościołach i prozelityzmie, o Cmentarzu Orłąt, o szansach wizyty Papieża w Rosji.

Stosunek ks. Kardynała do bolesnego problemu depolonizacji, uprawianej przez niektórych kapłanów, wydał się nam satysfakcjonujący. Dowiedzieliśmy się, że dla ludzi mówiących po polsku będzie się odprawiać nabożeństwa po polsku – sądzimy, że objęci zostaną tą zasadą ci wierni, którzy życzą sobie polskiego języka w kościele i w k a t e c h e z i e (a nie wedle arbitralnej decyzji nadgorliwego księdza przybyłego z RP). Miejmy więc nadzieję, że takie skandaliczne sytuacje jak w Drohobyczu, a także w wielu miejscowościach na Ukrainie zabruczańskiej (patrz CL 2/02) nie będą już miały miejsca i żaden biskup rzymskokatolicki nie będzie w czasie mszy dla Polaków wygłaszał kazania ostentacyjnie nie po polsku. To cieszy, dziękujemy więc księdzu Kardynałowi za to zapewnienie.

Chcemy przy okazji zwrócić uwagę na inny, lecz zbliżony problem. Otóż niech nikt nie wątpi, że w małżeństwach mieszanych – wchodzących z natury w środowiska rozwojowe, a nie schodzące – dzieci, a już na pewno wnuki (poza jednostkami) pójdą za większością, w której przyjdzie im żyć. Przechodząc na język ukraiński lub rosyjski, staną się z czasem grekokatolikami lub nawet prawosławnymi (jeśli nie ateistami). Kościół rzymskokatolicki na tamtych terenach miałby do wygrania jedyną i niepowtarzalną szansę, gdyby – nie będąc pomawiany o prozelityzm, jak obecnie – utrzymał tradycyjny model Polaka-katolika i zachowując to środowisko, a nie niszcząc. Jednak do tego jest

jeździe z Rosji w 1883 r. Jako kapelan dworskiej kaplicy pozostał w Dźwiniacze do śmierci w roku 1895, a jego działalność duszpasterska wśród miejscowej ludności promieniowała na całą okolicę. Sprowadził tam też z Czerniowiec Siostry Rodziny Maryi (siostry marianki), a Dźwiniaczka stała się siedzibą nowicjatu habitowej gałęzi tego zgromadzenia. (MT)

JABLONÓW

Miasteczko w pow. kołomyjskim, woj. stanisławowski, nad rzeczką Luczką, dopływem Prutu, przy drodze z Kołomyi do Kut, w odległości 20 km od Kołomyi. W latach międzywojennych liczba mieszkańców wynosiła ok. 1900. Wymienione po raz pierwszy w 1515 r. Parafię rzym.kat. erygował w 1760 r. książe Józef Aleksander Jabłonowski. Drewniany kościół pw. Niepokalanego Poczęcia NMP został zniszczony podczas lub po II wojnie. W 2. poł. XIX w. Jabłonów stanowił własność arcybiskupstwa lwowskiego. Jabłonów był ważnym ośrodkiem kultury żydowskiej na Pokuciu. Zabytkowa drewniana bożnica została zniszczona podczas I wojny.

W Jabłonowie urodził się Maksymilian Nowicki (1826–90), zoolog, prekursor ekologii, profesor Uniwersytetu w Krakowie, jeden z założycieli Towarzystwa Tatrzańskiego.*

KOSMACZ

Wieś huculska w pow. kołomyjskim, woj. stanisławowski, siedziba gminy. Położona na wys. ok. 640 m npm. w głębi Beskidu Huculskiego, nad rzeczką Pistrynką, dopływem Prutu, w jej górnym biegu. Pierwsza wzmianka o Kosmaczu pochodzi z 1412 r. W okresie międzywojennym znajdowały się tu cztery młyny, dwie kopalnie ropy naftowej, działała huculska spółdzielnia.

We wsi istniała od pocz. XVIII w. cerkiew typu huculskiego pw. św. Paraskewii z barokowym ikonostasem, spalona w 1983 r. Druga cerkiew z pocz. XX w. pw. św. Piotra i Pawła istnieje do dziś.

W Kosmaczu został zastrzelony w 1745 r. słynny zbójnik huculski, Ołeksa Dobosz (lub Dowbusz).*

KRZYWCZE

Wieś w powiecie borszczowskim, woj. tarnopolskim, 15 km na pld. wsch. od Borszczowa, 5 km od stacji kol. Germakówka. Najwyższe wzniesienie 276 m npm. Leży nad potokiem Cyganka, dopływem Nieczławy (zob.CL 2/2000). Dzieli się na Krzywczę Górne, położone ponad jarem, i Dolne, na dnie jaru.

potrzebny język polski. A to wcale nie przeszkadza, by w kościołach obok nabożeństw polskojęzycznych odbywały się – przy zachowaniu proporcji – nabożeństwa w innych językach. Jedno może być pewne: wyeliminowanie polskości z kościołów na tamtym terenie przyniesie z czasem klęskę Kościołowi łacińskiemu, obcemu mentalności i tradycji grup narodowych, wychowanych w duchu bizantyjsko-ruskim (poza jednostkami oczywiście, które jednak nie powinny przesłaniać całości problemu).

Wielki niepokój wśród lwowskich Polaków wzbudziła zapowiedziana na sobotę 14 IX msza św. w Katedrze, po raz pierwszy w języku ukraińskim, przeznaczona dla studentów (?). Wyrażana jest obawa, że może to być początek niekorzystnych zmian, niezgodnych z przytoczonymi wyżej zapewnieniami. Do tematu wrócimy po otrzymaniu bliższych wiadomości ze Lwowa.

Tadeusz Czerny

LĘK PRZED POWROTEM

Wielu absolwentów polskich uczelni nie może znaleźć pracy na Ukrainie

Pamiętam, jak patrzyłem w Kijowie na radosne twarze młodych ludzi pochodzenia polskiego, którzy na początku lat 90. pomyslnie zdali egzaminy wstępne na wyższe uczelnie w Polsce. Wyglądali tak, jakby przed nimi otwierał się cały świat. Wyjeżdżali z Ukrainy do Polski na stypendium rządu polskiego.

Najpierw stypendyści uczyli się języka polskiego i poznawali kraj swoich przodków. Potem wybierali kierunki studiów. Podczas wakacji przyjeżdżali do Kijowa. Przy różnych okazjach opowiadali, jak im się powodzi w Polsce. Większość była zadowolona.

Młodzi studenci z Ukrainy próbowali się adaptować do warunków panujących w Polsce. Łatwiej udawało się to młodzieży, która miała polskie korzenie. Natomiast ci studenci, którzy otrzymali stypendium rządu polskiego dzięki znajomościom, z większym trudem przyzwyczajali się do nowych warunków.

W znacznej mierze aklimatyzacja zależała od środowiska akademickiego, do którego trafiali młodzi ludzie z Ukrainy. Niektórzy studenci z polskich rodzin kresowych skarżyli się, że byli dyskryminowani na uczelniach i w akademikach, gdzie określano ich pogardliwym mianem *Ruscy*. Mimo to większość studentów pochodzenia polskiego szybko przyswajała sobie wiedzę i sposób zachowania obowiązujący w Polsce. Po studiach wielu z nich pozostało nad Wisłą, gdzie znaleźli pracę. Część wyznaje, że po prostu boją się powracać na Ukrainę.

Zawód: konduktor

Alicja D. mieszka w Kijowie. Pochodzi z biednej rodziny polskiej. Na początku lat 90. jako jedna z pierwszych wyjechała na studia do Polski. Po ukończeniu Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego wróciła na Ukrainę. Pracuje obecnie jako konduktorka, sprzedaje bilety w środkach transportu komunikacji miejskiej. Ostatnio związała się z sektą Hare Kriszna. Mówi, że jest szczęśliwa.

Aleksander M., mieszkaniec Kijowa, kilka lat temu ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Jest absolwentem Wydziału Stosunków Międzynarodowych. Miał znakomite oceny z egzaminów na studiach. Dziś pracuje w prywatnej firmie handlowej, która nie ma nic wspólnego z polityką międzynarodową. Od dwóch lat w ukraińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych leży jego podanie o przyjęcie do pracy. Młody ma znikome szanse na to, aby trafić do dyplomacji ukraińskiej, jako że nie ma znajomości w odpowiednich kręgach.

Ważny dyplom

Absolwenci polskich uczelni przyznają, że jest im teraz nieco łatwiej. Ukraina narazie formalnie zaczęła uznawać polskie dyplomy wyższych uczelni. Jeszcze kilka lat temu Ministerstwo Oświaty ich nie honorowało. Dla urzędników ukraińskich dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego, uznawanego nieomal na całym świecie, był zwykłą kartką papieru.

Henryk W. z Kijowa jest magistrem Uniwersytetu Warszawskiego. W 1997 r. ukończył Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Obecnie jest bezrobotny. Bezskutecznie ubiegał się o pracę w Ministerstwie

Spraw Zagranicznych. Urzędnicy nie wzięli tam nawet do ręki dyplomu polskiej uczelni. Henryk M. znalazł pracę w firmie handlowej na stanowisku nie wymagającym specjalnych kwalifikacji. Po kilku miesiącach okazało się, że pracodawcy są zwykłymi oszustami, którzy nie płacą pensji pracownikom. Po tych przykrych doświadczeniach znalazł pracę w biurze Partii Zielonych Ukrainy. Po wewnątrzpartyjnych sporach stracił posadę. Henryk M. nie może znaleźć pracy, jest zdesperowany. Chce wyjechać do Polski w poszukiwaniu pracy, bo na Ukrainie nie widzi dla siebie żadnych perspektyw. Niedługo skończy 28 lat. Z goryczą stwierdza, że jego wiedza zdobyta w Polsce jest niepotrzebna w kraju zamieszkania.

Uśmiech losu?

Nie wszyscy jednak narzekają. Stanisław R. ukończył politologię na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach znalazł pracę podczas kampanii wyborczej do parlamentu ukraińskiego w sztabie socjalistów Ołeksandra Morozza. Nawiazał kontakty z politykami. Ma dużą siłę przebicia. Dlatego został zatrudniony jako doradca jednego z posłów. Dobrze sobie radzi na tym stanowisku. Ostatnio założył własną firmę, która zajmuje się tworzeniem wizerunku polityków ukraińskich.

Włodzimierz K. po studiach wyższych w Polsce pracuje obecnie w Służbie Bezpieczeństwa Ukrainy. Trudno powiedzieć, w jaki sposób wykorzystuje wiedzę nabytą w Polsce i za pieniądze polskich podatników.

* * *

Trudno zrozumieć zachowanie przedstawicieli różnych instytucji ukraińskich wobec ukraińskich obywateli narodowości polskiej. Przecież Polska opłaciła koszty wykształcenia tych młodych ludzi. Byli pełni nadziei i wiary, wrócili na Ukrainę po studiach w Polsce. Każdy kraj potrzebuje ludzi wykształconych, pełnych zapału i energii.

Państwo ukraińskie, jak się jednak okazuje, nie jest zainteresowane w odrodzeniu polskiej inteligencji na Ukrainie. Trudno powiedzieć, jaki los czeka w przyszłości tych wykształconych młodych ludzi, reprezentujących mniejszość polską na Ukrainie. Na razie są nikomu niepotrzebni.

Eugeniusz Tuzow-Lubański (Kijów)

W XVII w. własność Kąckich, których staraniem zbudowany został (w części górnej) zamek na planie prostokąta, z czterema narożnymi basztami. Często oblegany i zdobywany przez Kozaków, Turków i Tatarów. Odrestaurowany gruntownie w XVIII w., zamieszkały był jeszcze na początku XIX w. Później rozebrano go na budulec, pozostały tylko dwie baszty, część jednej ze ścian i resztki bramy wjazdowej. Prochownia zamkowa została przebudowana na kaplicę. W XIX w. Krzywczę należało do Jana Golejewskiego, członka Stanów Galicyjskich, po nim do jego najmłodszego syna, również Jana, po którym majątek odziedziczył tegoż syn, Kornel. Wszyscy pochowani są w miejscowej kaplicy. (MT)

W stromej, skalistej (przeciwległej) ścianie jaru znajduje się wejście do rozległego kompleksu jaskiń krystalicznych, będących unikatem przyrodniczym w Europie i należących do najbardziej znanych grot w Polsce, wzmiankowanych już w książce ks. Rzączyńskiego w 1721 r. Zapomniane, zostały na nowo odkryte w 1908 r. Ich badaczem był archeolog z UJK we Lwowie Leon Kozłowski w 1928 r.

Groty w Krzywczu należą do dość rzadkich zjawisk krasu gipsowego, rozwiniętego szczególnie na Podolu, jako pozostałość po morzu okresu trzeciorzędowego (*miocenu*). Morze to wysychając pozostawiło u stóp Karpat potężne pokłady soli kamiennej i soli potasowych, na Podolu zaś pokłady gipsu (grubości do 35 m), przykryte wapieniem. Groty są efektem wyłobienia przez wody opadowe, przenikające się do wnętrza skały oraz jej wylugowanie.

Jaskinie składają się z systemu korytarzy, łącznie o dług. ok. 30 km, komór, pionowych szczelin i *kominów*. Występują zwisające głązy oraz stalaktyty. Jaskinie są udostępnione do zwiedzania od 1933 r. (AC)**

PISTYŃ

Miasteczko w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim, położone przy drodze z Kołomyi do Kosowa, w odległości ok. 25 km na płd. od Kołomyi. Leży nad rzeczką Pistrynką, dopływem Prutu. W latach międzywojennych liczył niemal 4 tys. mieszkańców. Pracowały tu liczne młyny i tartaki. Niegdyś działały tu warzelnie soli. Pistryń był znany jako ośrodek produkcji ceramiki typu hułuskiego.

Pierwsza wzmianka o Pistryniu pochodzi z 1375 r.. Parafię rzym.kat. założyła w 1776 r. Marianna z Kalinowskich Ponińska. Drewniany, jednonawowy kościół pw. św. Trójcy z 1778 r. został spalony w czasie II wojny światowej.

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie Lwów-Kijów 23.05.2002 r.
l.dz. 107/2002

Na ręce Pana Prezydenta RP
Aleksandra Kwaśniewskiego

OŚWIADCZENIE

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie wyraża ubolewanie i żal z powodu krótkowzrocznej decyzji Rady Miejskiej miasta Lwowa z dnia 16 maja br. uniemożliwiającej otwarcie zdewastowanego w 1971 roku przez ówczesne władze Cmentarza Orląt we Lwowie.

To miejsce pamięci jest szczególnie drogie dla nas Polaków, obywateli Ukrainy, stanowiących polską mniejszość narodową. Wiele rodzin polskich mieszkających we Lwowie i jego okolicach ma pochowanych tam swoich bliskich.

Niestety nieliczne ugrupowania polityczne, obciążone kompleksem *syndromu polskiego* nie są w stanie pogodzić się dziś ze świadectwem historii i postąpić zgodnie z przyjętymi w świecie standardami.

Solidaryzujemy się z decyzją Prezydenta Rzeczypospolitej Polski wierząc, iż dotychczasowy wysiłek obu Prezydentów – RP i Ukrainy – w kierunku zacieśniania dobrosąsiedzkich stosunków nie zostanie zniweczony.

Mamy nadzieję, że zarówno postępowe społeczeństwo ukraińskie, jak i polskie uczynią wszystko, by akt otwarcia został dokonany i nasze przyszłe pokolenia mogły patrzeć na historię ze zrozumieniem, szacunkiem i bez uprzedzeń.

Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie (–) Emilia Chmielowa
Wiceprezes (–) Teresa Dutkiewicz

Wydarzenia

◆ **W Mościskach** nareszcie ukończono adaptację budowlaną obiektu przeznaczonego na szkołę polską. Jest to budynek pokoszarowy (sowiecki), na przebudowę którego RP wydała 4 miliony zł. Ma 2800 m² powierzchni, 12 sal lekcyjnych i 4 specjalistyczne, w tym komputerową. Jest ponadto sala gimnastyczna i biblioteka.

Droga do powstania godnej szkoły dla polskiej młodzieży w Mościskach była drogą przez mękę. Szkołę założono w 1989 r. – były to najpierw klasy w budynku szkoły

ukraińskiej, potem pozyskano zagrzybiony i nieogrzewany obiekt, wyremontowany staraniem i pieniędzmi miejscowych Polaków. Zakup nowej działki przez „Wspólnotę Polską” był przez *ukraińskich przyjaciół* torpedowany przez wiele lat. Wreszcie sprzedali nam puste posowieckie koszary za 55 tys. dolarów (*pecunia non olet!*).

Otwarcie szkoły odbyło się we wrześniu 2002 – temu wydarzeniu poświęcimy osobną relację w następnym numerze CL.

Jest jednak jeszcze inny, niewesoły problem, który ujawnił się przy okazji realizacji i otwarcia szkoły. Okazuje się, że nawet w tak niewielkim środowisku polskim, jak w Mościskach, nie ma zgody między Rodakami. Trudno tutaj ten temat rozwlekać. Pozostaje nam tylko zaapelować do nowego Prezesa Oddziału TKPZL w Mościskach: Pan powinien doprowadzić do pogodzenia wszystkich stron, jest to Pana moralny obowiązek. Nie wolno dopuścić, by z *góry* były do Mościsk przenoszone nie obiektywne, a gorszące podziały. Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda!

◆ Po półwieczu zwrócono we Lwowie – jeszcze nie w całości – **pałac arcybiskupi** przy ul. Czarnieckiego 32. Obiekt został wybudowany w 1844 r. wg projektu Jana Salz-



mana, zastępując wcześniejszą rezydencję arcybiskupów lwowskich w kamienicy przy Rynku 9, użytkowaną od końca XIV wieku. Jednopiętrowy z początku pałac został nadbudowany przez abpa Bilczewskiego z początkiem XX w.

Pałac zabrali sowieci już w 1939 r., ale po ich odejściu abp. Twardowski powrócił do niego. Powtórnie pałac zabrano w 1945 r., a abp Baziak przeniósł się do klasztoru Franciszkanów, jednak tylko na rok, ponieważ we wrześniu 1946 został ostatecznie wygnany ze Lwowa – udał się wtedy do Lubaczowa. W pałacu urządzono klinikę wojskową.

Obszerne omówienie historii i losów pałacu i sąsiadującego z nim Seminarium Duchownego wraz z pięknym XVII-wiecznym kościołem MB Gromnicznej – niegdyś kościołem i klasztorem ss. Karmelitanek Bosych (do czasów kasaty józefińskiej) – podaje „Gazeta Lwowska” 7–8/02.

W uroczystości przejścia i poświęcenia części pałacu wzięł udział kard. Giovanni Battista Re z Rzymu.

◆ Z okazji 135. rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego (1867–1935) odbyła się w lipcu w Charkowie **sesja pt. Piłsudski i Ukraina**. Organizatorem była przede wszystkim Federacja Organizacji Polskich nU., Konsulat RP w Charkowie i Wspólnota Polaków w Charkowie oraz kilka instytucji naukowych ukraińskich.

Wypada wyrazić uznanie prezesowi FOPnU p. Emilii Chmielowej za jej liczne inicjatywy i realizacje imprez kulturalnych i naukowych (zawsze znajdując odpowiednich partnerów), które wśród Polaków, a także w różnych środowiskach intelektualnych tamtego państwa budują *image* Polski. Ostatnio odbyły się sesje we Lwowie na temat M. Hemara (XI '01) i Z. Herberta (III '02 – piszemy o niej w dziale *Kultura–Nauka*) oraz H. Siemiradzkiego (VII '02).

W trakcie tej ostatniej sześć referatów wygłosili historycy sztuki z Warszawy, Lublina i Krakowa (dr J. Petrus z Wawelu), z Moskwy i Charkowa oraz ze Lwowa – dr Wita Susak, która mówiła o kolekcji prac Siemiradzkiego w posiadaniu(!) Lwowskiej Galerii Sztuki.

◆ Prasa doniosła, że we Lwowie podwoiła się liczba zachorowań **na gruźlicę**, a ilość zgonów na tę chorobę zwiększyła się aż trzykrotnie.

Parafia gr.kat. posiadała dwie cerkwie typu huculskiego pw. Zaśnięcia NMP – prawdopodobnie z XVIII w. oraz Zwiastowania NMP z 1861 r. Do II wojny zachowało się kilka domów podcieniowych wokół rynku.

Pistyń był miejscowością uczęszczaną jako letnisko. W 2. poł. XIX w. działał tu zakład kuracji zimną wodą.*

SŁOBODA RUNGURSKA

Wieś huculska w pow. kołomyjskim, woj. stanisławowski, położona 22 km na pld. zach. od Kołomyi. Za czasów I Rzeczypospolitej stanowiła część dóbr królewskich starostwa kołomyjskiego, którym przez długi czas zarządzali Potoccy. Po I rozbiore stała się własnością rządową.

Bogate złoża nafty w Słobodzie R. zaczęto eksploatować w XVIII w.; pierwszy szyb powstał tu w 1771 r. W latach 1880. w wydobywaniu ropy surowej zajmowała jedno z pierwszych miejsc w Europie. Została połączona z Kołomyją linią kolejki wąskotorowej, którą transportowano ropę wydobywaną w czterech kopalniach. W związku z kopalniami powstały w okolicy destylarnie nafty, rozwijał się wyrób świec parafinowych.

Słoboda Rungurska leży na wys. ok. 600 m npm., w obrębie Beskidu Huculskiego. W latach międzywojennych wieś liczyła ponad 1200 mieszkańców, siedziba gminy; znajduje się tu cerkiew gr.kat. pw. Narodzenia NMP z 1861 r.

W Słobodzie R. urodził się i mieszkał pisarz Stanisław Vincenz (1888–1971), autor epepei huculskiej *Na wysokiej poloninie*.*

SZESZORY

Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowski, w odległości 32 km na pld. od Kołomyi i 32 km na zach. od Kosowa. Położona nad rzeczką Pistynką, dopływem Prutu, w obrębie Beskidu Huculskiego.

Wymieniona w dokumentach po raz pierwszy w 1427 r. Niegdyś istniała tu fortalicja. We wsi znajduje się cerkiew typu huculskiego pw. św. Paraskewii z 1874 r. W latach międzywojennych liczyła ok. 1800 mieszkańców, siedziba gminy.

Uprawiane tu czereśnie przewyższały smakiem słynne *czerechy kleparowskie* spod Lwowa.*

WORONIENKA

Osiedle w pow. nadwórniańskim, woj. stanisławowski. Ostatnia stacja kolejowa przed tunelem (dług. 1,2 km) po pln.wsch. stronie głównego grzbietu Karpat, na linii (Lwów–) Stanisławów–Rachów (nad Cisą, połączenie ze Słowacją,

POLACY z POLAKAMI

IV FORUM OŚWIATY POLONIJNEJ

Po Pułtusku, Wilnie i Paryżu, kolejne – czwarte Forum Oświaty Polonijnej pod hasłem *Nauczanie języka i kultury polskiej w świecie jako wyzwanie XXI wieku* odbyło się z początkiem września w Krakowie. Organizatorem był Oddział Krakowski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Na Forum przyjechało kilkadziesiąt osób ze Wschodu i Zachodu. Wśród gości zauważyliśmy znajome osoby ze Lwowa, Mościsk i Sambora. Otwarcie nastąpiło w Auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Z uwagą wysłuchano kilku referatów, a przede wszystkim prof. A. Stelmachowskiego pt. *Koncepcja działalności Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w dziedzinie oświaty*, w którym dotknięta została m.in. sprawa depolonizacji w Kościele rzymskokatolickim, oraz prof. J. Mazura (UMCS Lublin): *Język polski jako narzędzie komunikacji we współczesnym świecie*.

Dla przyjezdnych zorganizowano warsztaty w zakresie nauczania języka polskiego, podręczników dla nauczycieli polonijnych, historii i współczesności Polski w edukacji szkolnej. Nauczaniu języka polskiego na Wschodzie poświęcono osobne forum dyskusyjne.

NAD SUKIELEM, ŚWICĄ I ŁOMNICĄ

Bolechów, Dolina i Kałusz – to miejscowości, które oprócz wspólnego położenia na malowniczym Podkarpaciu, łączy opieka duszpasterska, pełniona tam przez ks. Krzysztofa Panasowca (z Księdzem Krzysztofem rozmawialiśmy w CL 3/02). W tych samych miejscowościach spotykają się Radom z Krakowem, bo w obu miastach pamiętają o tamtejszych Polakach.

W Radomiu piękną akcją prowadzi pan Jan Batkowski, emerytowany dziś historyk sztuki, urodzony w Bolechowie. Zdobywa darczyńców i sponsorów, organizuje transport i pod firmą „Caritasu” zawozi nad Sukiel, Świcę i Łomnicę odzież, buty, żywność, słodycze dla dzieci. Ale to nie wszystko: wraz z żoną i p. A. Chmielowskim badają i dokumentują historię tamtej Ziemi, inwentaryzują groby na cmentarzach. Bylibyśmy

radzi, gdyby Pan Jan zechciał podzielić się z nami wynikami poszukiwań. Przecież z tych miejscowości pochodzi tak wielu wybitnych ludzi naszej kultury. Na przykład z Doliny: Ostrowscy – ojciec i syn rzeźbiarze, Schiillerowie (z nich Leon, reżyser), Kępińscy (Antoni, psychiatra – patrz życiorys w tym numerze). I tak dalej.

Z Krakowa idzie pomoc „Wspólnoty Polskiej” dla najbardziej potrzebujących. Parę razy w roku wyruszają tam członkowie TMLiKPW, którzy docierają do osób starych, chorych i opuszczonych. Za to we wrześniu gościł w Krakowie chór parafialny z Kałusza, z samym Księdzem Proboszczem. Śpiewali w czasie mszy w kościele św. Jadwigi Królowej i u oo. Misjonarzy przy ul. Lea.

Barbara Barta



Obraz Narodzenia NMP z głównego ołtarza kościoła parafialnego w Dolinie

Do zapamiętania

◆ Gmina **Mszana Dolna** podpisała umowę o wzajemnej współpracy z **Gródkiem Jagiellońskim**. Podczas niedawnej wizyty działacze mszańscy przedstawili w Gródku propozycje swoich przedsiębiorców. Planowane są wakacyjne wymiany dzieci – mamy nadzieję, że dzieci polskie zostaną uwzględnione w sposób szczególny. W „Dzienniku Polskim” 185/02 zamieszczono zdjęcie przedstawicieli Mszany Dolnej na Cmentarzu Orłąt.

Czytelnikom przypominamy, że w 1914 r. właśnie w Maszanie Dolnej został rozwiązany Legion Wschodni, który dotarł tam ze Lwowa. Trzeba też przypomnieć, że koło Lwowa jest również Mszana – stacja kolejowa między Gródkiem a Lwowem.

W Krakowie i dalej

Ojciec Święty w Krakowie

W dniach 17–19 sierpnia 2002 przebywał w Polsce Jan Paweł II z dziewiątą już pielgrzymką do Ojczystego Kraju. W programie znalazły się jedynie uroczystości w Krakowie – konsekracja Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach (17 VIII) i Msza św. na Błoniach (18 VIII, 2,5 miliona uczestników) oraz w Kalwarii Zebrzydowskiej (19 VIII).

Oto wypowiedź dla prasy o. płk. Adama Studzińskiego na temat wielkiego wydarzenia:

Czas bezpośrednio przed przyjazdem Papieża Polaka do Ojczyzny był w naszym Kraju okresem jakiejś beznadziejskości, wzajemnych pretensji, ogólnego niezadowolenia i wszechobecnej krytyki. Dlatego oczekiwanie na Ojca Świętego było dla wielu Polaków nadzieją na złagodzenie sporów.

Ojciec Święty podkreślał wielokrotnie, że ludzie wierzący powinni szukać nadziei w Bogu. Mówił o niesprawiedliwości, o cenie, jaką płacimy za pogoń za majątkiem, o egoizmie, a także o tym, że podstawą wiary katolickiej jest sprawiedliwość, odpowiedzialność, otwartość na potrzeby bliźniego i współczucie. Nie zagłębiał się w szczegóły, w konkrety, ale przypominał wszystkim uniwersalne prawdy, którymi powinniśmy się kierować w życiu. Bo przecież wyróżnikiem człowieka wierzącego i myślącego jest zastanowienie się nad sobą i nad samym człowiekiem. Jesteś człowiekiem i za człowieka bądź odpowiedzialny wobec siebie i wobec Boga – to moim zdaniem najważniejsze przesłanie, które przekazał nam Papież.

Na temat beatyfikacji dokonanych przez Ojca Św. piszemy niżej.

Węgry, Rumunia). Przed II wojną była to stacja graniczna, położona na wys. 835 m n.p.m. w pobliżu przełęczy Tatarskiej (lub Jabłoniczkiej, przez którą analogiczne przejście drogowe na drugą stronę Karpat). Poprzednią stacją przed Woronienką jest Worochta.*

ZAŁUCZE

Wieś w pow. kołomyjskim, woj. stanisławowskim, w odległości 10 km na płd. wsch. od Kołomyi. Notowana w lustracjach z lat 1564–65. W latach międzywojennych liczyła ponad 1000 mieszkańców, siedziba gminy. Cerkiew gr.kat. z roku 1868.

Majątek ziemski był w XIX w. własnością rodziny Raciborskich, u których po upadku Powstania Listopadowego znalazł schronienie powstaniec i poeta warszawsko-lwowski Dominik Magruszewski (1810–47); zbierali się tu wtedy literaci z lwowskiej grupy „Ziewonia”.*

ZAMULIŃCE

Wieś w pow. kołomyjskim, woj. stanisławowskim, w odległości 14 km na płd. wsch. od Kołomyi. Notowana w lustracjach z lat 1561–65. W latach międzywojennych liczyła ponad 300 mieszkańców, siedziba gminy. We wsi znajdował się kościół filialny oraz drewniana cerkiew pw. św. Mikołaja z 1839 r.

W XVII i XVIII w. Zamulińce należały do ks. Jabłonowskich. Po I rozbiore Polski majątek nabył adwokat, polityk i bibliofil lwowski Józef Dzierzkowski. Jego bratanek – literat, publicysta i działacz niepodległościowy we Lwowie – Józef Dzierzkowski (1807–65) przebywał tu po upadku Powstania Listopadowego.*

* Teksty oparte w części na *Słowniczku nazw miejscowości* w opracowaniu A. Ruszczyka i W. Witkowskiego, zawartym w książce pt. *Dawne Pokucie i Huculszczyzna w opisach cudzoziemskich podróżników*, Warszawa 2001. Podobnie w CL 3/02 w odniesieniu do hasła: *Dora, Jaworów (wieś), Krzyworównia, Łanczyn, Majdan, Mikuliczyn, Zabłotów, Żabie*. Uzupełnienia dokonane przez Redakcję.

** Na podstawie: W. Nechay, *Przewodnik po jaskiniach w Krzywczu*, Lwów 1933.

Pozostałe hasła opracowała dr Maria Taszczyka w oparciu o źródła wymienione w CL 2/95, *Słownik*.

WYNIESIENI DO CHWAŁY OŁTARZY

Podczas swojej tegorocznej pielgrzymki do Krakowa, w trakcie mszy św. na krakowskich Błoniach 18 sierpnia Ojciec św. beatyfikował czworo Sług Bożych: arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, ks. Jana Balickiego, o. Jana Beyzyna oraz s. Sancję – Janinę Szymkowiak, zakonnice z Poznania. Trudno nam nie zwrócić uwagi, że – z wyjątkiem tej ostatniej – pozostali trzej duchowni mieli związek z Ziemią Wschodnimi – Wołyniem i Ziemią Przemyską*. Dotyczy to przede wszystkim abpa. Z.S. Felińskiego.

■ **Zygmunt Szczęsny Feliński** urodził się w 1822 r. w Wojutynie k. Łucka na Wołyniu. Zyskał najpierw wykształcenie matematyczne i humanistyczne, ale potem ukończył seminarium duchowne w Żytomierzu i studia teologiczne w Petersburgu (1855). W 1862 r. został mianowany przez Piusa IX arcybiskupem Warszawy. Rządził tam tylko 16 miesięcy, bo w czasie Powstania 1863 r. – mimo iż usiłował powstrzymać rozlew krwi – został przez władze carskie usunięty i wygnany do Rosji, gdzie spędził 20 lat. Po powrocie na ziemię polskie osiadł w Dźwiniacze** na Podolu tarnopolskim. Tam sprowadził Siostry Rodziny Maryi (marianki) i za-



Bł. Zygmunt Szczęsny Feliński

łożył nowicjat habitowej gałęzi tego zgromadzenia (założonego przezeń w 1857 r. w Petersburgu jako zgromadzenie bezhabitowe, ze względu na carski zakaz tworzenia zakonów; obie gałęzie zgromadzenia połączyły się po odzyskaniu przez Polskę niepodległości). Zmarł w Krakowie w 1895 r., został pochowany najpierw w Dźwiniaczu, a po I wojnie światowej w podziemiach katedry warszawskiej.

■ **Ksiądz Jan Wojciech Balicki** (1869–1948) związany był z Ziemią Przemyską. Urodził się koło Rzeszowa, ale studia i całe życie kapłańskie upłynęły mu w P r z e m y ś l u. Był tam profesorem Seminarium Duchownego, odznaczył się jako wybitny duszpasterz, opiekun upośledzonych społecznie oraz charyzmatyczny spowiednik.

■ **Ojciec Jan Beyzym** (1850–1912) pochodził z Wołynia. Jezuita, po święceniach kapłańskich przez 10 lat pracował jako wychowawca młodzieży w słynnym konwiktach w Chyrowie – w Ziemi Przemyskiej. Potem wyjechał na Madagaskar, do trędowatych, którym oddał się bez reszty. Zbudował tam dla nich szpital, do dziś działający.

Maria Klara Bohomolec



Portrety beatyfikowanych przy ołtarzu papieskim na Błoniach w Krakowie, od lewej: abp. Zygmunt Szczęsny Feliński, ks. Jan Wojciech Balicki, o. Jan Beyzym

- * Ziemia Przemyska wchodziła w czasach staropolskich w skład województwa wschodnio-małopolskiego (zwanego niepotrzebnie *ruskim*), a jeszcze dawniej Ziemi Czerwieńskiej. W latach międzywojennych było to województwo lwowskie. Przemysłowi i Ziemi Przemyskiej (która sięgała od Rzeszowa po Stryj) poświęcimy jeden z najbliższych numerów CL.
- ** W okolicznościowej broszurze wydanej z okazji uroczystości na Błoniach i rozdawanej uczestnikom ani słowem nie wyjaśniono, gdzie leży Dźwiniaczka. Nie wiedzieli? Dlatego prezentujemy tę miejscowość w *Słowniku geograficzno-historycznym* w tym numerze.

CENTRUM WYPĘDZONYCH

Ekspatrianci, którzy zatrzymali się na obszarze Polski centralnej, a może i ci, których osiedlono na ziemiach zachodnich, lecz w oddaleniu od Wrocławia, dowiedzieli się z mediów o pomysle utworzenia w tym mieście niemiecko-polskiego (jak rozumiemy) Centrum Wypędzonych. Sprawa powinna być więc i dla nas w Krakowie godna rozpoznania i przemyślenia, nie jesteście tu jednak *na pierwszej linii frontu*, jak lwowsko-wileńscy wygnańcy nad Odrą i Bałtykiem.

Czytamy w prasie różne artykuły na ten temat, nie mając wszakże dotąd wyrobionego zdania, dlatego z ogromnym zainteresowaniem przyjęliśmy znakomity artykuł dr D. Nespiak pt. *Skok na Wrocław* („Nasz Dziennik” 132/02, czerwiec). Autorka daje analizę najnowszej niemieckiej idei utworzenia owego Centrum Wypędzonych, widzianej z perspektywy Polaków osiadłych przed prawie 60 laty – ale nie z własnej woli – w tymże Wrocławiu.

Osoba dr Danuty Nespiak jest nam bliska: b. prezeska Zarządu Głównego TMLiKPW, doskonała publicystka (także nasza autorka – tak się złożyło, nawet w tym numerze), której wachlarz zainteresowań – obok historii sztuki, jej profesji – obejmuje dwa skrajne geograficznie i historycznie miejsca na Ziemi, realne, a zarazem symboliczne, których przymusowa zamiana dotknęła trzy pokolenia Polaków z połowy

SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 2002

Berezów	4/02
Burkut	4/02
Bystrzec	4/02
Ceniawa	4/02
Dora	3/02
Dupa (rzeka)	3/02
Dzembronia	4/02
Dźwiniaczka	4/02
Halicz	2/02
Jabłonów	4/02
Jaworów (miasto)	3/02
Jaworów (wieś)	3/02
Kosmacz	4/02
Krzywcze	4/02
Krzyworównia	3/02
Łanczyn	3/02
Majdan	3/02
Mikuliczyn	3/02
Pistyń	4/02
Przemysłany	1/02
Rohatyn	1/02
Słoboda Rungurska	4/02
Sukiel (rzeka)	2/02
Szeszory	4/02
Sniatyn	2/02
Tlumacz	2/02
Trembowla	1/02
Woronienka	4/02
Zablotów	3/02
Zaleszczyki	1/02
Zalucze	4/02
Zamulińce	4/02
Żabie	3/02

Spisy haseł zamieszczonych w poprzednich rocznikach:

1995–1996	CL 1/97
1997	CL 1/98
1998	CL 1/99
1999	CL 1/2000
2000	CL 4/2000
2001	CL 4/01
2002	CL 4/02

Serdeczne gratulacje i życzenia składamy

Pani Ani Kosteckiej-Sadowy i Jej Mężowi z okazji narodzin córki Justyny

Pani Urszuli Hanc i Jej Mężowi z okazji narodzin syna Bartosza

Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW
w Krakowie
oraz Redakcja CRACOVIA-LEOPOLIS

Polski, najboleśniej od wieków doświadczanej i dlatego najbardziej wiernej.

Autorka przypomina dramat wypędzeń. Zacytujmy kilka fragmentów artykułu:

Rozmowy i ustalenia o nowym powojennym podziale Europy odbywały się w 1945 r. – najpierw w Jaltcie (4–11 lutego), potem w Poczdamie (17 lipca–2 sierpnia). Był to przetarg polityczny zwyciężących państw sojuszniczych, w którym nie brał udziału najwierniejszy z sojuszników i najbardziej zainteresowany tym podziałem – Polska. [...]

Sojusznicy zdecydowali też w Poczdamie o przesiedleniu Niemców z tego terytorium i Polaków z Kresów Wschodnich II RP zagarniętych przez ZSRS. Obywatele narodowości polskiej opuszczając Kresy, otrzymali dokument – kartę repatriacyjną – z informacją o pozostawionym mieniu (domach, ziemi, gospodarstwach czy ruchomościach objętych zakazem wywozu – o ile takie posiadali). Za mienie to mieli w Polsce, zniewolonej przez Sowiety, otrzymać ekwiwalent o równej wartości, ale jego otrzymanie dzisiaj graniczy z cudem.

Decyzja wyjazdu, bardzo trudna i bolesna, spowodowana była koszmarnymi warunkami sowieckiej okupacji. Oficjalnie była dobrowolna, ale perspektywa posiadania sowieckiego obywatelstwa, szukany, aresztowania, pokłosie mordów UPA na obszarach wiejskich od Wołynia po Małopolskę Wschodnią zdynamizowały proces przesiedleń. Ich największe tempo przypada na lata 1945–1946. Rok 1945, w którym spotkali się we Wrocławiu przesiedleńcy – Polacy i Niemcy, był momentem historycznym, krańcowo niesprzyjającym takiemu spotkaniu. Nie istnieje obiektywna miara, abstrahując od narodowości, przy pomocy której można „wycenić” wielkość ludzkiego cierpienia. Znani są sprawcy dramatu kresowych Polaków. Dramat ten unicestwił przedstawicieli elity naukowej i kulturalnej, zmiołł dorobek materialny wielu pokoleń, zniszczył ukształtowane struktury społeczne, rozerwał tradycyjne lokalne wspólnoty, spowodował, że opuszczono wsie i miasteczka, Wilno i Lwów. Sprawców było dwóch – spod znaku swastyki oraz sierpa i młota. W okresie wojny mieli jeszcze pomocników – ukraińskich i litewskich nacjonalistów. [...]

Decyzja o przesiedleniu Niemców nie zapadła w Poczdamie nagle. Skłaniała się do tego rozwiązania dyplomacja angielska, bo już w lecie 1942 r. Churchill przewidywał, że Sowiety zagarną polskie ziemie po Bug i trzeba będzie coś Polsce dać w zamian. Na tę koncepcję przysłał później Roosevelt, a pobłogosławił ją w końcu 1943 r. Stalin. Konferencja poczdamska była już tylko formalnością. Ale techniczne wykonanie przesiedleń spadło na podbitą politycznie

przez ZSRS Polskę. W ten sposób znalazł się winowajca przesiedleń Niemców z ich byłych terytoriów. [...]

Na firmamencie wcale nie malejącej (mimo Npływu ponad pół wieku) rzeszy wypędzonych Niemców pojawiła się nowa gwiazda: Erika Steinbach, która z wielkim rozmachem zabrała się do dzieła. Ona to właśnie wyszła z inicjatywą powołania Centrum Wypędzonych w Berlinie, jednak inni wysoko postawieni politycy zaproponowali jego lokalizację we Wrocławiu, gdzie istnieje logiczne powiązanie obu wypędzeń: Niemców na Zachód i Polaków ze Wschodu. W tym miejscu mogłaby ta idea trafić także nam do przekonania, ale:

Na to tło rzucony jest dyskretny na razie program klasyfikacji ofiar II wojny światowej, gdzie prawda sąsiaduje z przekłamaniem. Od kilku lat winy Niemców za zagładę są pomniejszane, natomiast Polkom przypisuje się rzekomą odpowiedzialność za holokaust. Pojawia się też następna grupa ofiar. Są to właśnie „wypędzeni” z organizacji Eriki Steinbach a gdzie są w tej klasyfikacji ofiary II wojny światowej zamęczeni w obozach koncentracyjnych – Polacy, gdzie są ci z sowieckich łagrów, gdzie są okrutnie pomordowani przez UPA, expatriowani z Kresów?

Oni też kiedyś, jak „wypędzeni” [Niemcy], posiadali swoje domy, ziemię, gospodarstwa, a także duży majątek ruchomy. O nich dużo ciszej lub wcale. Głosy o odszkodowaniach dla „wypędzonych” są coraz wyraźniejsze i jednoznaczne. Honorowy przewodniczący Ziomkostwa Ślązaków Herbert Hupka w odezwie wydanej w związku z tegorocznym majowym zjazdem w Norymberdze napisał, że przyszłość Śląska, który obecnie jest poddany suwerenności polskiej, doczeka się rozwiązania w Zjednoczonej Europie. Współbrzmi z tym wypowiedź chadeckiego kandydata na kanclerza Niemiec Stoibera, który zadeklarował, że jeżeli zostanie wybrany, to rozszczenia majątkowe Niemców staną się elementem jego polityki europejskiej.

Erika Steinbach pracuje nad utworzeniem Centrum Wypędzonych w Berlinie, którego głównym celem jest przedstawienie tragedii Niemców i innych narodów. [...]

Pierwszą lokalizację Wrocławia wysunął Markus Meckel z SPD, przewodniczący polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej w Bundestagu, Według niego, Wrocław byłby idealnym miejscem, bo tutaj spotkały się „dwie historie wypędzeń: wrocławskiej Niemców i Polaków z okolic Lwowa”. [...] zdumiewa jego wyjaśnienie, iż Niemcy z Wrocławia (więc pewnie inteligenci miejscy) spotkali

w mieście grupę Polaków z okolic Lwowa (pewnie prostych ludzi). [...]

Propozycję Meckela podjęli piszący ciągle „najpoprawniej politycznie” dziennikarze – Adam Michnik z „Gazety Wyborczej” i Adam Krzemiński z „Polityki”, [...] Argumenty przedstawione przez nich mogą budzić nie wzruszenie ramion, ale oburzenia. [...] Obaj panowie informują kanclerza i premiera, że potem „...polscy szabrownicy, dzicy osadnicy i wreszcie polskie władze niszczyli ślady niemieckości” [przypisek redakcji CL: *jakże nam to przypomina styl wystąpienia Kuronia w sprawie Cmentarza Orłąt!*] [...] Panowie Michnik i Krzemiński zapomnieli, że w każdej wojnie zawsze znajdował się margines pospolitych złodziei, którzy korzystali z chaosu i braku władzy i brali co popadło. We Wrocławiu nazywano ich szabrownikami, ale ich rabunek wobec rabunku Armii Czerwonej to skala muchy do stu słoń.

Z listu obu panów dowiedziałam się też, że Wrocław jest historycznie naszym wspólnym miastem – niemieckim, polskim, czeskim, żydowskim, ukraińskim i rosyjskim. Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie wykładali jeszcze znakomici profesorowie z Uniwersytetu Jana Kazimierza, uczono mnie, że Wrocław był historycznie, tj. chronologicznie rzecz ujmując – polski, czeski, austriacki, pruski, niemiecki. Ciekawa jestem, w którym wieku i czasie był ukraiński i rosyjski? [...]

Wreszcie skąd ta pewność u obu panów, że „mamy w rękę kamień filozoficzny, teorię i praktykę polsko-niemieckiego dialogu, współpracy i pojednania. To doświadczenie już jest wzorem dla dialogu polsko-ukraińskiego i polsko-litewskiego”? Jakie to ma przełożenie na dwa ostatnie przykłady dialogu, świadczy skandal z cmentarzem Orłąt, gdzie ugodowa polityka Kwaśniewskiego wobec Ukraińców poniosła kompletną klęskę, a nadmierne grzeczności wobec Litwy wydają tak nędzne owoce w dziedzinie oświaty dla polskiej mniejszości, pisowni polskich nazwisk i zwrotu ziemi polskim rolnikom. [...]

Centrum Wypędzonych we Wrocławiu byłoby z pewnością sfinansowane w większej części, a może i w całości, przez stronę niemiecką, bo z funduszami w Polsce krucho. Kto finansuje, ten wymaga – przy tej okazji Centrum Wypędzonych, gdziekolwiek powstanie, stanie się instytucją dla załatwienia spraw, według niemieckich polityków – niezadowolonych w traktacie z czerwca 1991 roku. [...]

Trudno wyobrazić sobie instytucję, w której dokumentacja przesiedleń nie będzie zawierać danych dotyczących pozostawionego mienia – domów, ziemi, fabryk i przedsiębiorstw. Taka perspektywa budzi niepokój wśród Polaków kresowych, ekspatriowanych z miast i wsi podolskich, pokuckich, wołyńskich i dalej na północ, z byłych

województw nowogródzkiego i wileńskiego. Ten niepokój ma przecież swoje podstawy w wypowiedziach polityków niemieckich [...].

Trudno przy tak ogromnej złożoności zagadnienia zająć własne stanowisko. Z jednej strony inicjatywa mogłaby być zachęcająca, bo może i nasza krzywda – ciągle przez powojenne władze każdej maści ukrywana – wypłynęłaby wtedy na światło dzienne, z drugiej jednak strony akceptacja takiego Centrum Wypędzonych musiałaby znaleźć symetrię po drugiej – wschodniej stronie. Niemcy zamierzają – będą do tego parli jak dwa a dwa jest cztery – odzyskać swoje mienie, użytkowane od prawie 60 lat przez Polaków, którzy wszystko stracili we wschodniej – zabranej bez moralnego prawa przez *braci Słowian* – połowie kraju. A co my zyskamy? To wszystko powinni wziąć pod uwagę panowie politycy wszystkich kolorów – ale bez tych, których nazwiska tu padły – nim wejdziemy do *w y m a r z o n e j* (to nie ironia – jako naród nie mamy innego wyjścia) Unii Europejskiej. Niestety w tych sprawach UE nas nie poprze, raczej przeciwnie.

Kazimierz Selda

SOKALSKA PANI BLIŻEJ DOMU

Cudowny Obraz Matki Bożej Pocieszenia z Sokala – miasta odciętego dziś post-sowiecką granicą – który po II wojnie znalazł schronienie w bernardyńskim kościele w Krakowie (jakby trochę wstydliwie schowany w maleńkiej kapliczce za zakrystią) – wrócił w swoje strony. Bernardyni zbudowali teraz nowe Sanktuarium w Hrubieszowie i tam, bliżej Sokala (w linii powietrznej 45 km), będzie ten cudami słynący Wizerunek znowu odtąd patronował nadbużańskim okolicom. (Red.)

Na przełomie sierpnia i września odbyła się na Stradomiu w Krakowie wielka uroczystość. Żegnaliśmy cudowny obraz Matki Boskiej Sokalskiej – największą świętość maryjną Ziemi Południowo-Wschodnich. Obraz – wszędzie po drodze uroczyste wita-



Cudowny Obraz MB Sokalskiej w dotychczasowym miejscu, w kaplicy przy kościele Bernardynów w Krakowie

ny, został przewieziony przez Tarnów, Rzeszów, Przeworsk i Zamość do Hrubieszowa.

W święto Matki Boskiej Zielnej, 8 września, odbyła się w Hrubieszowie uroczystość intronizacji Obrazu. Cudowny wizerunek nie mógł powrócić do sokalskiego Sanktuarium, które przez kilka wieków było celem pielgrzymek dla ludności tamtych ziem i licznych wiernych z różnych stron. Kresy Wschodnie z licznymi warowniami jak Zbaraż, Złoczów, Brzeżany czy Kamieniec Podolski osłaniały Polskę przed najazdami Turków, Tatarów i Kozaków, pełniły rolę chrześcijańskiego przedmurza. Natomiast liczne na tych ziemiach ośrodki kultu maryjnego były fortecami duchowymi. Wśród nich najślawniejszą i najbardziej czczoną była świątynia sokalska z cudownym obrazem Matki Boskiej Pocieszenia.

Legenda mówi, że obraz namalował Jakub Wężyk, który odzyskałszy utracony wzrok za sprawą MB Częstochowskiej, z wdzięczności postanowił namalować kopię częstochowskiego obrazu. Po odbyciu trzykrotnej peregrynacji na Jasną Górę zastał w swojej pracowni gotowy, jaśniejący niezwykłą światłością obraz Matki Bożej. Wiele cudów dokonało się przed tym obrazem, a największy w 1655 r., kiedy Chmielnicki z Tatarami odstąpił od oblężenia klasztoru. W 1683 r. król Jan III Sobieski, wracający spod Wiednia, odwiedził Matkę Boską Sokalską i został wotum – zdobyczną chorągiew turecką.

Przypomnieć warto, że Ojcowie Bernardyni zostali w Sokalu zainstalowani przez

MODLITWA DO MATKI BOŻEJ SOKALSKIEJ

Matko, co każdej pilnujesz strzechy
I w serca nasze wlewasz pociechy.
Twe dzieci proszą Ciebie ze łzami,
Panno Sokalska, módl się za nami.

Przed Twym obrazem przez całe wieki
Dawałaś biednym znaki opieki.
Okaż i dzisiaj matczyne serce,
Pociesz nas w smutku i poniewierce.

Matko w Sokalu z cudów słynąca,
Do Ciebie płynie prośba gorąca.
Ty wiesz najlepiej co dziecko boli,
Pociesz nas, ulżyj w naszej niedoli.

biskupa chełmskiego Stanisława Gomolińskiego w 1598 r. – cztery wieki temu. Oryginalny obraz MB pochodził z XIV wieku, a od kiedy go tam umieszczono, nazywano Sokal „drugą Częstochową”. W 1724 r. obraz został ukoronowany przez arcybiskupa lwowskiego Jana Skarbka – była to czwarta koronacja obrazu na ziemiach polskich. Niestety w czasie pożaru w 1843 r. obraz spłonął, ale jego wierną kopię wykonał lwowski malarz Jan Kanty Maszkowski (znany nam z CL 4/01).

Bernardyński kościół wraz z klasztorem w Sokalu stał (i stoi, choć dziś zbezczeszczone) po zachodniej stronie Bugu, nie został więc od razu w 1944–45 r. włączony do ZSRR, jak samo miasto, usytuowane na wysokim wschodnim brzegu rzeki. Stało się to dopiero w 1951 r., gdy sowieci wymusili zamianę: zagarnęli lewobrzeżną Sokalszczyznę z pokładami węgla (z Wareżem, Uhnowem, Bełzem), a oddali zabraną wcześniej część Bieszczadów z Ustrzykami Dolnymi (pisaliśmy o tym w CL 4/01). Obraz wtedy wywieziono, a w 1958 r. trafił do Krakowa.

Kiedy ks. bp. Jan Śrutwa przekazał Bernardynom jedną z parafii w Hrubieszowie, podjęto decyzję o przeniesieniu tam cudownego obrazu. Jest to powrót w swoje strony, gdzie ojcowie Bernardyni chcą odtworzyć ośrodek maryjny. W Krakowie pozostała kopia i wota, złożone w czasie trwającego pół wieku wygnania.

W sierpniu '01 odbyła się ogólnopolska pielgrzymka Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW

do Matki Boskiej Sokalskiej w Krakowie. Wzięła też w niej udział duża grupa wygnańców z Sołkaszczyny, osiedlonych w powiecie ustrzyckim pod Bieszczadami. O tym i inne materiały o Sołku i o Obrazie – patrz CL 2/97 (*Słownik*), 2/2000, S/01 (*Nowe książki*) i 4/01.

Marta Walczewska

Notatki

◆ **63. rocznicę agresji sowieckiej** na Polskę obchodzono w całym kraju – odbywały się uroczyste apele poległych, spotykano się i składano kwiaty pod pomnikami, a prasa zamieściła wiele okazjonalnych artykułów (patrz także *Wertując wydawnictwa*). W Krakowie uroczystości odbyły się w kilku miejscach: przy Grobie Nieznanego Żołnierza, pod Krzyżem Katyńskim pod Wawelem, na cmentarzu Rakowickim. Każda z tych o s o b n o organizowanych (przez różne organizacje) uroczystości zgromadziła pewną liczbę osób, a przecież stałoby się sensowniej, gdyby urządzono jedną, wspólną manifestację pamięci i postawy. Efekt psychologiczny byłby nieporównywalny, a przecież o t o w s z y t k i m chodzi.

◆ Opiekun duchowy środowiska lwowskiego w Krakowie o. **ptk. Adam Studziński**, dominikanin, obchodził 65-lecie swego kapłaństwa. Uroczystość – urządzona wspólnie z Jego równołątkiem i kolegą z lwowskiego Seminarium Duchownego o. Isnardem Szyperem – odbyła się w maju w kościele oo. Dominikanów. W solennej mszy św. koncelebrowanej przez kilkudziesięciu kapłanów wziął udział ks. Janusz Popławski, główny kapelan TMLiKPW. →

O Ojcu Adamie pisaliśmy wielokrotnie – ostatnio w CL 3/02.

◆ W sierpniu br. zmarł w Łodzi **profesor Bolesław Bachman**, złoczowianin, urodzony w r. 1911, absolwent Wydziału Chemii Politechniki Lwowskiej. Profesor Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej, był aktywnym działaczem Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW w Łodzi oraz Klubu Złoczowskiego w Krakowie.

W ostatnich paru latach parokrotnie spotykaliśmy Profesora w Dworcu Białoprądnickim w Krakowie, gdzie wygłaszał ciekawe pogadanki. Żegnamy Go z wielkim żalem.

◆ **W Londynie** zmarł Jerzy Palmi, prezes Rady Narodowej Związku Ziem Wschodnich II RP, żołnierz 2 Korpusu.



Spotkanie w Krakowie: o. Adam Studziński i ks. Janusz Popławski

W Łaskach k. Warszawy zmarł

ks. Janusz Popławski

(29 I 1922 – 9 VIII 2002)

kapelan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.
Pozostawił nas w szczerym żalu. Cześć Jego pamięci.

W następnym numerze poświęcimy Mu obszerne wspomnienia.

◆ W Rząsce k. Krakowa przy koszarach, gdzie stacjonował dotąd jeden z batalionów Brygady Desantowo-Szturmowej WP im. **gen. Stanisława Sosabowskiego**, znajdowało się popiersie Patrona. Obecnie, w związku z likwidacją tego batalionu, pomnik został przeniesiony na ul. Wrocławską, gdzie znajduje się sztab Brygady. To lepsza lokalizacja, bo pomnik będzie lepiej wyeksponowany.

Przypomnijmy, że gen. St. Sosabowski urodził się w r. 1892 w Stanisławowie. W kampanii wrześniowej 1939 r. (jako pułkownik) zasłużył się w walkach na Mazowszu w ramach armii „Modlin”. Po zakończeniu działań wojennych przez Lwów, Stanisławów i Węgry przedostał się do Francji, potem w Szkocji utworzył pierwszą w WP jednostkę spadochronową. W 1944 r. już jako generał walczył w Holandii. Zmarł w Londynie w 1967 r., jego prochy pochowano na Powązkach w Warszawie.

KULTURA NAUKA

PAMIĘCI ZBIGNIEWA HERBERTA

W połowie marca tego roku odbyły się we Lwowie DNI HERBERTOWSKIE, w których – obok lwowskich Polaków – wzięło udział wielu wybitnych przedstawicieli kultury polskiej, przybyłych głównie z Warszawy i Przemyśla. Włączyli się także ludzie kultury ukraińskiej. Odślonięto dwie tablice pamiątkowe ku czci Poety – w Katedrze i na kamienicy przy ul. Łyczakowskiej 55 – oraz otwarto wystawę zatytułowaną *Epilog Burzy* w Pałacu Sztuki przy ul. Kopernika, zaprezentowano książkę o Poezji oraz zbiór jego wierszy w tłumaczeniu na język ukraiński.

W czasie sesji naukowej, urządzonej w gmachu Uniwersytetu, Zdzisław Najder mówił o Herbercie jako pisarzu europejskim; poruszano różne aspekty twórczości Poety – historiozofię i dramaturgię. Wypowiadali się również Janusz Odrowąż-Pieniążek z Warszawy i Mariusz Olbromski z Przemyśla. Wiersze Herberta recytowali Zbigniew Chrzastowski i aktor ukraiński Bohdan Kozak.

O Zbigniewie Herbercie pisaliśmy i prezentowaliśmy jego poezję w CL 2/95, 3/97, 3/99, 3/2000,

Elżbieta Mokrzyska

DNI LWOWA W TARNOWIE 2002

W czerwcu już po raz siódmy obchodzono w Tarnowie DNI LWOWA, które wprowadził śp. Adam Lewicki, wieloletni prezes tamtejszego Oddziału TMLiKPW. Rodowity lwowianin, we wszystko, co czynił dla naszego wspólnego Miasta, wkładał całe serce. Dni Lwowa były dla Niego szczególną troską i równocześnie wielką radością. Odszedł, ale duch Jego patronował będzie tym uroczystościom na zawsze.

W tych czerwcowych dniach Tarnów przybiera odświętny wygląd, ogłoszenia, napisy i transparenty informują o obchodach. Społeczeństwo tarnowskie – nie tylko *kresowianie* – uczestniczy i przeżywa tę uroczystość. Jest okazja, aby spotkać się z członkami Towarzystwa, zapoznać się z ich działalnością. Wielką zasługę i wsparcie w obchodach daje Urząd Miasta Tarnowa oraz miejscowy oddział Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego. Patronat objął prezydent miasta Tarnowa p. Józef Rojek.

Program tegorocznych obchodów rozpoczął się od złożenia wiązanki kwiatów przed tablicą upamiętniającą budowniczych Zakładów Azotowych w Mościcach – pracowników naukowych i absolwentów Politechniki Lwowskiej. W tym samym dniu odbyło się uroczyste spotkanie i wykład prof. Iwona Pollo pt. *Znaczenie Politechniki Lwowskiej w polskich i światowych osiągnięciach naukowo-technicznych*. W czasie spotkania wystąpił chór „Echo” ze Lwowa, a prezes



Złożenie kwiatów przed „Kurhanem” na tarnowskim cmentarzu. Po prawej chór „Echo” ze Lwowa. W środku prezes ZG TMLiKPW dr Andrzej Kamiński

Zarządu Głównego Towarzystwa dr Andrzej Kamiński udekorował Złotą Odznaką Towarzystwa osoby szczególnie wspierające działalność TMLiKPW w Tarnowie. Otrzymali ją:

- Prezydent J. Rojek za szczególne zaangażowanie i pomoc dla działalności Towarzystwa
- Ks. biskup Władysław Bobowski
- p. Zbigniew Guzy, rzecznik prezydenta
- p. Marian Kozik, dyrektor Zespołu Szkół Mechanicznych w Tarnowie,
- p. Ewa Chylewska, lwowianka zamieszkała w Zurichu (Szwajcaria)

Wśród innych miast Tarnów wyróżniał się działaniami na rzecz pomocy dla Rodaków na Wschodzie. Nie byłoby to możliwe bez pomocy i wsparcia ludzi dobrej woli z Urzędu Miasta, spośród duchowieństwa, z różnych instytucji i organizacji. Dzięki pedagogom i młodzieży szkolnej, biorącym udział w kwestach i wyjazdach z pomocą.

Drugiego dnia na Cmentarzu Starym złożono kwiaty pod tablicą pamiątkową, ufundowaną przez Tarnowski Oddział TMLiKPW oraz społeczeństwo tarnowskie, z napisem: W HOŁDZIE RODAKOM ZE LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH II RZECZYSPOLITEJ POLSKIEJ POLEGŁYM ZA OJCZYZNĘ I POMORDOWANYM W LATACH 1939–1947.

W Zespole Szkół Ekonomiczno-Gastro-nomicznych odbył się *Lwowski poranek*, z udziałem chóru „Echo”.

Dni Lwowa trwają zbyt krótko. Kończą się uroczystości i spotkania, ale pozostają ludzie, którzy przez wiele miesięcy myśleć będą, jak zdobyć środki na pomoc dla Polaków mieszkających na Ziemi Lwowskiej. Będą się starali dotrzeć do tych najbardziej potrzebujących, steranych życiem ludzi, do polskich szkół i przedszkoli. Przez wiele miesięcy będą zabiegać o zdobycie funduszy na kolonie letnie dla polskich dzieci ze Wschodu, tak jak co roku. Radość i uśmiech tych dzieci będą dla nich najwyższą nagrodą.

Jadwiga Sibiga (Jarosław)

Kronika

◆ Znakomity kompozytor polski, rodowity lwowianin **Wojciech Kilar**, zamieszkały w Katowicach, obchodził w lipcu br. swoje 70. urodziny. W intencji Kilara, autora wielu utworów o inspiracji religijnej – ostatnio *Missa pro Pace*, wykonana niedawno przed Papieżem w Watykanie – odprawiono mszę św. na Jasnej Górze.

Przypomnijmy, że w listopadzie 1994 r. w ramach wielkiego koncertu *Homagium Leopoli*, na który złożyły się utwory siedmiu wybitnych kompozytorów polskich o korzeniach lwowskich, odegrany został także utwór W. Kilara, przez niego wskazany. Niestety nie powstał na tę okazję – jak się spodziewano – specjalny utwór (skomponowali je natomiast pozostali kompozytorzy). Koncert przygotował pod względem muzycznym i poprowadził Stanisław Gałoński, a inicjatorem i organizatorem z ramienia Oddziału Krakowskiego TMLiKPW był Andrzej Chlipalski. Koncert odbył się w sali Filharmonii Krakowskiej.

◆ Krakowskie Muzeum Etnograficzne otworzyło w czerwcu **wystawę pt. Z wysokiej połoniny. Huculskie fascynacje Heleny Dąbczańskiej**. Rzecz interesuje nas więc z dwóch powodów: po pierwsze nasza Huculszczyzna, po drugie osoba znakomitej lwowianki H. Dąbczańskiej, której kolekcja (ściślej jej część) jest przedmiotem wystawy. Był jeszcze trzeci powód naszego zainteresowania: w trakcie wernisażu odbyła się promocja *Słownika huculskiego* prof. Jana Janowa. O kolekcjonerce Dąbczańskiej i o *Słowniku* Janowa piszemy osobno w tym numerze.

A o samej wystawie – przepisujemy fragmenty z prospektu opracowanego przez autora scenariusza wystawy Grzegorza Graffa:

[...] Huculszczyzna i kultura ludowa zamieszkujących ją górali zaczęła budzić zainteresowanie już na początku XIX wieku wśród romantyków. Poeci i pierwsi ludoznawcy widzieli przede wszystkim malowniczy lud, który żyjąc w Karpatach, z dala od cywilizacji, pozostał wierny – jak uważano – archaicznej i nieomal prastawiańskiej kultury. Tak jak zachodnia Małopolska odkrywała piękno Tatr i kulturę ludową Podhala, tak mieszkańcy Lwowa i innych miast wschodniej Galicji zapatrzeni byli w stronę Czarnohory i Huculów. Zachwyt budził krajobraz i folklor. Zainteresowanie Huculszczyzną wzrosło po Wystawie Etnograficznej Pokucia w Kołomyi w 1880 r., zorganizowanej przez Czarnohorski Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego. Wystawa Jubileuszowa we Lwowie w roku 1894 jeszcze bardziej wzmocniła modę na miejscowości letniskowe Pokucia oraz sztukę ludową i rzemiosło jako pamiątki z wakacji. [...]

Huculska kolekcja Heleny Dąbczańskiej, jakkolwiek zainspirowana modą, odzwierciedla indywidualne upodobania. Dominują przedmioty mające związek z kultem i ze sztuką cerkiewną. Sporą grupę stanowią oryginalne barwne fragmenty strojów, tkanin i ceramika. W małym stopniu interesowały H. Dąbczańską przedmioty codziennego użytku i narzędzia pracy, co zresztą nie powinno dziwić, bo tzw. kultura materialna nie budziła jeszcze wtedy zainteresowania. Kolekcjonerstwo to nie miało ambicji naukowych w dzisiejszym rozumieniu, stąd obiekty nie posiadają dokładnej proveniencji. H. Dąbczańska prawdopodobnie nie była do takiego kolekcjonerstwa przygotowana, nie zajmowała się etnografią, bazowała na tym, co nabywał [...] agent handlowy jeżdżący w teren. Stan zachowania wielu przedmiotów był zły, do rąk H. Dąbczańskiej trafiły one już jako wysłużone i zniszczone. [...]

Przypomnijmy przy okazji, że o Pokuciu i Huculszczyźnie pisaliśmy w naszym *Słowniku geograficzno-historycznym* w CL 2/95 i 3/97, artykuły o ceramice huculskiej J. Kamockiego i o huculskich snycerzach H. Breita zamieściliśmy zaś w CL 1/02.

◆ Wybuchła kolejna kontrowersja wokół historii naszej kultury. W Drohobyczu zawisła nowa **tablica pamiątkowa na domu Brunona Schulza** (w miejsce dotychczasowej, skromnej?). Na granitowej płycie

umieszczono napis: *W tym budynku w latach 1910–1941 żył i tworzył wybitny pisarz i malarz żydowski Bruno Schulz, wielki mistrz słowa polskiego*. Napis podano w trzech językach: po lewej w ukraińskim, po prawej hebrajskim, zaś w środku, pod wizerunkiem artysty – po polsku.

Treść napisu nie była (jak zwykle!) uzgadniana ze stroną polską. Sprawa wywołała protest konsula RP we Lwowie, który zwrócił uwagę na określenie *pisarz i malarz żydowski*, gdyż Schulz wyraźnie identyfikował się z polskością. Wystąpił nawet z gminy żydowskiej, myślał także o przechrzczeniu się. Jako twórca należał niewątpliwie do kultury polskiej.

Napis inskrypcji akceptuje natomiast p. Alfred Schroyer (pisaliśmy już kilka razy o tym znakomitym działaczu kultury polskiej w Drohobyczu, wyznania żydowskiego), który zwrócił uwagę, iż napis po polsku został mocno wyeksponowany przez umieszczenie go po środku (co faktycznie na tamtym terenie jest ewenementem, jednak sądzimy, że wynikało to raczej z zasady umieszczania napisów ukraińskich po stronie lewej – niejako na pierwszym miejscu), poza tym przyznano – nie wprost – iż był pisarzem polskim.

Na marginesie: w tłumaczeniu napisu na język polski pokutuje drobny, ale natrętny rusycyzm: „w tym budynku”. Powinno być: *w tym domu*. Niestety Polacy przestali uwzględnić to subtelne rozróżnienie – dom i budynek. Pałac na Kopernika 42 (gdzie mieści się Polski Teatr) to nie „Budynek Nauczyciela”, lecz *Dom Nauczyciela*.

◆ W Sopocie urządzono wystawę malarstwa pt. **Twórczość Jacka Malczewskiego** w zbiorach Lwowskiej Galerii Sztuki. Obrazy pochodzą z kolekcji Lubomirskich, Leona Pinińskiego, dawnej Galerii Miejskiej i paru innych.

◆ We wrześniu minęła setna rocznica zakończenia procesu polsko-węgierskiego (formalnie: galicyjsko-węgierskiego) w Grazu w sprawie **przynależności Morskiego Oka**, zakończonego uznaniem racji polskich (pisaliśmy o tym w CL 3/99). Zwycięstwo było możliwe dzięki wnikliwej argumentacji historycznej prof. Oswalda Balzera z Uniwersytetu Lwowskiego. Z okazji rocznicy odbyły się imprezy w Zakopanem i nad Morskim

Okiem. Szkoda tylko, że prasa relacjonująca je nie wspomniała, że to Lwów obronił ten najpiękniejszy fragment polskich Tatr.

◆ Zamknięto kolejny **sezon badań archeologicznych** polsko-ukraińskich w dorzeczu górnego Sanu i górnego Dniestru, zainicjowanych i prowadzonych ze strony polskiej przez prof. Jana Machnika z PAU w Krakowie, przy wsparciu finansowym PAU i Fundacji Lanckorońskich (na ten temat pisali-

śmy już w CL 4/01). Badano kurhany z III tysiąclecia przed Chrystusem i ustalono, że są one pozostałością cywilizacji pasterskiej, kórej ślady znaleziono w kilku miejscach Polski oraz Niemiec. Odkryto ponadto w Bykowie k. Drohobycza kurhan z I tysiąclecia p. Chr., z czasów istnienia kultury ł u ż y c k i e j , z wpływami kultury scytyjskiej (a więc z południowego wschodu Europy). Znaleźiska z Bykowa będą konserwowane w Krakowie.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 W CL 1/02 powiadomiliśmy o ukazaniu się szóstej książki **Tadeusza Kukiza** o Madonnach Kresowych. No i jest s i ó d m a ! Tym razem jest to **Suplement** do wszystkich wcześniej wydanych, w którym zebrano – jak wyjaśnia autor – fakty nieznanemu w trakcie przygotowywania kolejnych opracowań. Od tamtego czasu – pierwszy tomik wyszedł przed pięciu laty – pojawiły się różne prace (choćby tomy *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej*, wydawane pod kierunkiem prof. J. Ostrowskiego), a także relacje świadków miejsc i wydarzeń, które wzbogaciły wiedzę o przedstawianych przez dra Kukiza obiektów kultu. Te właśnie nowe informacje spowodowały konieczność ich utrwalenia.

Nowa książka składa się z kilku części. Pierwsza to uzupełnienie danych z wcześniejszych tomików. Druga część omawia kilkanaście obiektów dotąd autorowi nieznanych. Obok obrazów i rzeźb są tam także inne: feretrony i sztandary, niektóre całkiem przypadkowo odkryte w trakcie wędrówek niezmordowanego autora.

Część trzecia – rzecz ciekawa – to opisy kilku kopii wschodniomałopolskich obiektów kultu, związanych przeważnie z dramatycz-

nymi wydarzeniami, jak choćby te, dotyczące obrazu Matki Boskiej z Czerwonogrodu. Inny z tej grupy obiektów łączy się z dziejami rodu Herburtów, który w naszych stronach znaczył wiele, a tak niewiele o nim wiemy (matka Mikołaja Reja była z domu Herburtówna). Chcielibyśmy naszym Czytelnikom przybliżyć tę historię, zwracamy się przeto do Pana Doktora o zgodę na przedruk w CL tego rozdziału. Z góry dziękujemy!

Ostatnia część książki podsumowująca poszukiwania to trzy aneksy: tabelaryczne zestawienia obiektów przed i po II wojnie światowej. Również podsumowaniem niezwyklej pracy T. Kukiza jest *Wprowadzenie*, zamieszczone na początku tomu. Autor opisał tam intencje i koleje swoich wieloletnich starań o zebranie materiałów, wędrówki, kontakty z ludźmi, studia i odkrycia.

Na koniec jedno zastrzeżenie: omawiany *Suplement* powinien otrzymać numer 1. Nie wątpimy, że z czasem powstanie kolejny. Nawet wiemy, co się w nim powinno jeszcze znaleźć (między innymi), a że jeszcze się nie znalazło – to nasza wina (ściślej: piszącego te słowa).

📖 Następnym przewodnikiem, którego omówienie zapowiadaliśmy: **Lwów. Miasto Wschodu i Zachodu** autorstwa **Aleksandra Strojnego**, ukazał się w wydawnictwie „Bezdroża” (Kraków 2001). Jest to mała wymiarowo książeczka o ponad 250 stronach (format A6), z kilkoma wkładkami z kolorowymi zdjęciami, wieloma bardzo dobrymi rysunkami oraz kilkoma planikami. Niezwykle korzystnym uzupełnieniem przewodnika są liczne ramki, a w nich dodatkowe informacje z zakresu historii, historii sztuki

(również rysunkowe), geografii, biografie, cytaty i anegdotki.

Niestety są w przewodniku też rzeczy niesympatyczne. Należy się dziwić, że historyk (nawet jeśli młody) potrafi napisać: *Ukraińcy zabijali Polaków i odwrotnie. Do tej pory liczby ofiar wzbudzają kontrowersje* (s. 47). Idąc tym torem myślenia, moglibyśmy napisać, że Niemcy zabijali Polaków i odwrotnie, bo przecież AK-owcom udało się zastrzelić pewną liczbę gestapowców czy ss-manów. Jednak porównywanie w obu wypadkach jest nonsensem i nietaktem. Na s. 57 następne „eleganckie” porównanie, wzięte z... „Gazety Wyborczej”: *godzi się przypomnieć, że gdy we wschodniej Ukrainie szalał głód, we Lwowie działało pół setki knajp*. Trudno pojąć – to dobrze, czy źle?

Podobne sformułowania powstrzymują nas przed polecaniem tego przewodnika.

Zdarzają się też mniej groźne lapsusy. Po pierwsze: kawiarnia „Szkocka” była znana nie ze spotkań akademików, lecz matematyków (Lwowska Szkoła Matematyczna, *Księga Szkocka*). Po drugie: najwybitniejszy z matematyków Stefan Banach jakoby czasem *przychodził na wykłady we fraku i w lakierkach wprost z parkietów lwowskich restauracji*. Tymczasem prof. Banach był znany jako abnegat.

Nazwę Świrza podano w dwóch błędnych wersjach: *Świrż* (z ruska) i *Świż* (na mapce, błąd ortograficzny).

Na IV str. okładki napisano, że Lwów powstał *na styku cywilizacji Zachodu i Orientu, świata łacińskiego i prawosławia*. Wyjaśnijmy, że chodzi tu o dwie różne opozycje. Co do Orientu: chodzi niewątpliwie o wielowiekowe styki (negatywne, ale i pozytywne) ze światem islamu. A co do prawosławia: było w średniowieczu, ale potem znikło i zostało zastąpione przez wyrosłe zeń wyznanie i kulturę unii, a to trwa już 400 lat. Lepiej więc byłoby powiedzieć: *styk świata łacińskiego i bizantyjskiego* – obrządek greckokatolicki bazuje wszak na tradycji Bizancjum, ale od prawosławia się dystansuje. Rozróżnienie subtelne, lecz istotne.

Na końcu przewodnika zamieszczono przegląd miejscowości wokół Lwowa, z dość dużym zresztą rozrzutem – po Krzemieniec i Kamieniec Podolski z Chocimiem. Nie uwzględniono natomiast gór i okolic podgórszych – słusznie, bo to osobny szeroki temat (takie przewodniki – w nowym wydaniu – już są, dotyczą jednak samych gór. Brak przewodnika po miejscowościach podgórszych). W rejonach północnych regionu wymieniono Gołogóry, ale pominięto

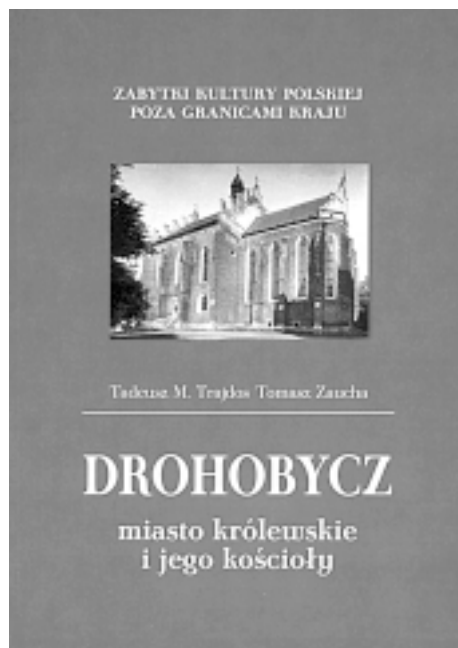
Woroniaki i Miodobory, a przede wszystkim Roztocze.

Ładnie opisano Cmentarz Obrońców Lwowa, ale zabrakło go na planiku miasta na str. 176. (AD, MW)

📖 Bardzo wartościowa seria *Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju* (czy nie lepiej: *poza granicami państwa?* Kraj a państwo to nie to samo), wydawana przez „Wspólnotę Polską” – Ośrodek do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego poza Granicami Kraju, wzbogaciła się o nowy tytuł: **Drohobycz miasto królewskie i jego kościoły** pióra **Tadeusza M. Trajdosa i Tomasza Zaucha** (2001).

Drohobycz to ważne miasto w naszej historii, szczególnie gospodarczej i kulturalnej, nie tylko w skali Małopolski Wschodniej. Nie był miastem wojewódzkim, ale choć w hierarchii miast tamtego regionu zajmował miejsce po lwowskiej metropolii i dwóch pozostałych stolicach województwa, to pod względem starożytności oraz jako stolica najpierw odwiecznego zagłębia solnego, a potem naftowego ekonomicznie wyprzedzał Stanisławów i Tarnopol.

Ciekawe są omówione w książce dzieje Drohobycza. Wedle przekazów sól eksploatowano już za czasów ruskich, któ-




re na Ziemi Czerwieńskiej trwały od 981 r. (do 1340), nasuwa się jednak pytanie: a może wcześniej? W murze fary drohobyckiej zachowała się kamienna rzeźba – może szczątek przedchrześcijańskiego posągu kultowego? Jeśli byli tu Lędzianie, to wydaje się pewne, że na sól musieli natrafić.

Badania archeologiczne – jak czytamy – dokonane w latach 80. ujawniły tkwiące pod prezbiterium fary resztki murów siedziby *wojewody* – zarządcy włości, wzniesionych z cegły o układzie polskim, gotyckim, być może z początkiem XIII wieku. Wskazywałoby to wpływ polski lub węgierski (ziemie te były przejściowo opanowane przez węgierskich Arpadów w latach 1379–87). W każdym razie związku z Zachodem są tu niewątpliwe.

W kolejnych rozdziałach piszą autorzy o Drohobyczu w okresie staropolskim (1340–1772), o najważniejszym zabytku – gotyckiej farze, której budowa rozpoczęła się w r. 1392 (w CL pisaliśmy o tej drugiej po lwowskiej katedrze najważniejszej średniowiecznej świątyni na ziemiach płd. wsch.) oraz o pozostałych kościołach i innych świątyniach Drohobycza. Ostatni rozdział dotyczy XIX i XX w., a w jego zakończeniu opisano losy fary drohobyckiej w latach powojennych oraz kilkuletnie perypetie z jej odzyskaniem do kultu, uwieńczone sukcesem z końcem 1989 r. (o tych sprawach pisaliśmy w CL niejednokrotnie. Ostatnio cieniem kładzie się sytuacja językowa w parafii, a o sprawie tej pisaliśmy w poprzednim numerze).

Książkę zamykają aneksy, z których jeden dotyczy Jerzego z Drohobycza. Prof. Trajdos rozprawia się tam z potraktowaniem przez ukraińskich *specjalistów* tego XV-wiecznego uczonego jako Rusina. Zawłaszczenie to jest całkowicie bezpodstawne, a Jerzy Kotermak przynależał w pełni do polskiej i łacińskiej, zachodnioeuropejskiej kultury.

Książkę uzupełniają kilkadziesiąt ilustracji.

 Ośrodek „Karta” w Warszawie wydaje od kilku lat kolejne tomy *Indeksu Represjonowanych* – ukazało się już 12 tomów, dotyczących różnych rejonów, w których byli aresztowani, więzieni, zamordowani, zmarli i zaginieni Polacy w czasie II wojny światowej. Dla nas szczególne znaczenie ma tom VI: *Aresztowania w rejonie Lwowa i Droho-*

bycza (1939–1941), który już omawialiśmy, oraz tom XII, o którym poniżej.


Jeńcy obozu lwowskiego. *Alfabetyczny wykaz 12002 jeńców wojennych z 1939 roku – Polaków i obywateli polskich – skoncentrowanych latem 1941 w obozie w Starobielsku* (Warszawa 2001) został sporządzony przez grono historyków pod opieką Rady Naukowej, której przewodniczy **prof. Andrzej Paczkowski**. Koordynatorem całości jest **Zbigniew Gluza**, autorem wprowadzenia historycznego **prof. Albin Głowacki**.

Wymienieni w wykazie jeńcy byli początkowo przetrzymywani w obozie w Równem, a potem – w związku z przyspieszoną budową strategicznej szosy z Nowogrodu Wołyńskiego (w XX-leciu już poza granicą RP) do Lwowa, przy której ich zajęto – rozbito na szereg mniejszych punktów obozowych przy tej trasie (ze wspólną nazwą *obóz rówieński*). Część tych ludzi ulokowano w ograbionych pałacach i dworach, część w barakach z desek i namiatach, resztę w stajniach, oborach i chlewach, ale ogrodzonych drutem kolczastym.

Po zakończeniu wspomnianej drogi, w grudniu '39 jeńców skierowano do budowy innej: Płoskirów–Tarnopol–Lwów, a obóz przemianowano na *lwowski*. Budowano też lotnisko na zachód od Lwowa z punktami obozowymi m.in. w Zimnej Wodzie i Czerlanach.

W chwili wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu '41 jeńców wyewakuowano częściowo koleją, częściowo w *morderczych warunkach* pędzono piechotą na Wschód. Wielu jeńców zginęło od nalotów niemieckich, a osłabionych dobijały tylne straże kolumny. Po 760 km takiej wędrówki przewieziono ich koleją do Starobielska. Niedobitki w sierpniu 1941 r. zostały przejęte przez gen. Andersa i wcielone do tworzącej się polskiej armii.

Omawiana książka, podobnie jak 11 wcześniejszych, jest cennym dokumentem bolszewickiej *kultury politycznej*.

 Nasi Czytelnicy wiedzą kim był profesor **Jan Janów**, bo jego biogram zamieściliśmy w CL 4/01. Rodem z okolic Kałusza, językoznawca wykształcony we Lwowie, jako przedmiot swej pracy naukowej wybrał języki ruskie, które wykładał przed wojną we Lwowie, a po wojnie na UJ. Jego szcze-

gólne zainteresowanie kierowało się ku związkom językowym polsko-ukraińskim, a stąd badania gwar małopolskich, w tym huculskich, oczywiście w latach międzywojennych. I oto w 50-lecie śmierci Profesora (1952) ukazał się wydany z jego materiałów **Słownik huculski**, opracowany i przygotowany do druku przez prof. Janusza Riegera z UJ (Wydawnictwo Naukowe DWN, Kraków 2000).

Słownik huculski – ściślej *huculsko-pokucki* – to dzieło niezwykle. Obejmuje około 9000 haseł na prawie 300 stronach (formatu naszego kwartalnika), z dwoma mapkami i 20 fotografiami. Przy każdym haśle podano przykłady zastosowań.

Nas, jako nieprofesjonalistów, najbardziej interesują wnioski z zebranego materiału. Oto we *Wstępie*, w którym wydawca spuścizny po J. Janowie przedstawia rezultaty jego badań, otrzymujemy nie tylko kolejne potwierdzenie nieruskich korzeni Huculów, ale jeszcze dalej idące supozycje w kwestii wcześniejszego – sprzed przybycia pasterzy wołoskich – zaludnienia Pokucia. Czytamy (str. VIII):

[...] *Rezultatem tych studiów jest opis fonetyki huculskiej (...), opis rumuńskich elementów fonetycznych, morfologicznych i leksykalnych w gwarach huculskich (...), ustalenie podziałów dialektycznych Huculszczyzny i Pokucia (...), obfity zbiór słownictwa huculskiego prezentowany w niniejszej publikacji. Badania nad starym słownictwem polskim, zachowanym zarówno w gwarach rumuńskich na Bukowinie, jak i w gwarach huculskich, nasunęły przypuszczenie o dawnych bezpośrednich kontaktach polsko-rumuńskich w tym regionie i o pierwotnym zasiedleniu Huculszczyzny przez jakieś polskie plemię (...). Z kolei badanie elementów romańskich w gwarach huculskich pozwoliło wysnuć wnioski o arumuńskim* pochodzeniu przodków dzisiejszych Huculów (...).*

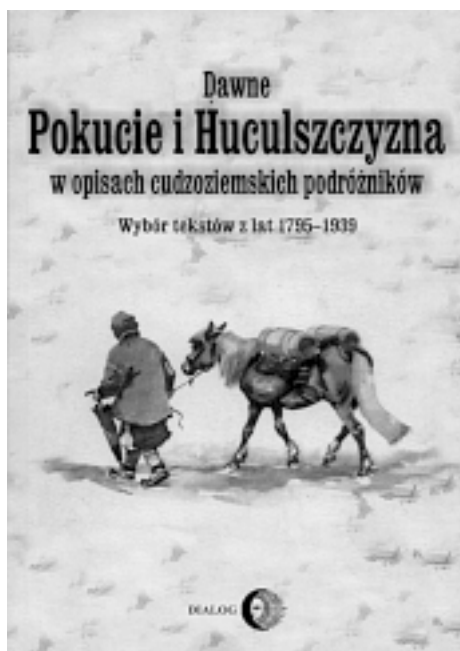
Wydaje się, że głównym celem badań J. Janowa, przynajmniej w latach 1936–1937, prowadzonych na Huculszczyźnie przez niego samego i pod jego kierunkiem przez S. Hrabca i F. Lewandowskiego (według specjalnych kwestionariuszy), było zebranie słownictwa, a na jego podstawie – ukazanie historii Huculów i ich pochodzenia na tle związków z żywiołem polskim z jednej strony oraz rumuńskim czy arumuńskim – z drugiej. Widzimy to w stwierdzeniu o bardzo dawnych kontaktach językowych polsko-rumuńskich i bezpośrednim wpływie polskim na rumuński, o pierwotnym polskim osadnictwie na Huculszczyźnie (...). Trudno te wywody przyjąć bezkrytycznie, ale trzeba je brać pod uwagę. Potwierdzają to obserwacje dotyczące elementów rumuńskich i arumuńskich w słownictwie, frazeologii, a także w pewnych konstrukcjach huculskich, uwagi badacza o dwóch odmianach gwar huculskich i o różnym ich nasyceniu pożyczkami rumuńskimi. [...]

Temat pochodzenia górali wschodniokarpaccy (i szerzej: ludności Wschodniej Małopolski w ujęciu historycznym) interesuje nas szczególnie – zagadnienie to przedstawialiśmy już kilkakrotnie (CL 3/97, 3/01, 2/02). Niebawem zamieścimy omówienie opracowania o zachodniosłowiańskich archaizmach toponimicznych w górnych częściach dorzeczy Bugu, Sanu i Dniestru). To bardzo ważne argumenty, a jest ich coraz więcej.

* Arumuni byli plemieniem pasterskim o pochodzeniu bałkańskim (trackim?), które uległo wchłonięciu przez żywioł rumuński (wołosko-moldawski).

📖 Tę książkę powitają z zaciekawieniem nie tylko wschodniomałopolscy Rodacy, lecz wszyscy, którym bliska jest urocza kraina między Dniestrem a Czarnohorą i Gorganami. **Dawne Pokucie i Huculszczyzna w opisach cudzoziemskich podróżników. Wybór tekstów z lat 1795–1939**, to zbiór relacji przetłumaczonych z jęz. niemieckiego, angielskiego i czeskiego, a przygotowany przez kilkoro miłośników tamtego Pogórza: Janusza Gudowskiego (autora przewodników po Karpatach Wschodnich, omawianych już na naszych łamach) oraz czworo innych (Wydawnictwo Akademickie „Dialog”, Warszawa 2001).





Autorami prezentowanych prac są: profesor nauk przyrodniczych, który pod koniec XVIII w. prowadził badania w Karpatach Wschodnich, w Siedmiogrodzie i na Bukowinie; angielski podróżnik powracający w 1836 r. z Kaukazu; czeski urzędnik pracujący we Lwowie, który odwiedził Pokucie w 1844 r.; młoda Szkotka przebywająca na Huculszczyźnie w 1890 r.; angielski dziennikarz i dawny szpieg z czasów I wojny światowej, objeżdżający w latach 30. XX w. Polskę na rowerze; amerykańska dziennikarka zwiedzająca Pokucie i Huculszczyznę również na rowerze na rok przed wybuchem II wojny; wreszcie szwajcarski pisarz i naukowiec-socjolog przebywający tam aż do pierwszych dni września 1939 r.

Każdy z siedmiu tekstów pełen jest obserwacji krajobrazu, huculskiej architektury i sztuki, a przede wszystkim ludzi i ich życia, od pracy zaczynając, na tańcach kończąc. Można wnosić, iż autorzy relacji nie udali się na Huculszczyznę bez przygotowania. Podawane przez nich wiadomości są ponadto doskonale uzupełniane i komentowane przez wydawców, toteż wartość tej książki dla zainteresowanych naszą *wschodnią góralszczyzną* jest szczególna.

📖 Kolejna dobra wiadomość: Brodzianie rozpoczęli wydawanie ***Brodzkich Zeszytów Biograficznych***. Ukazał się właśnie zeszyt 1, a miejscem jego wydania jest oczy-

wicie Wisła, dzisiejsza *stolica* wygnańców z Brodów i ich okolic, którzy pod skrzydłami pani dr Stanisławy Valis-Schuleny tam się corocznie zbierają (o X Zjeździe Brodzian pisaliśmy w CL 3/02).

Pierwszy tomik BZB obejmuje prawie 60 biogramów, skompletowanych w miarę nadsyłania materiałów (ułożone alfabetycznie – metodą „holenderską”, podobnie jak nasz *Słownik geogr.-hist.*, chociaż nawet nie wiedzieliśmy, że to się tak nazywa). Osoby opisane w BZB pochodzą zarówno z samych Brodów i okolicznych miejscowości (zapewne w obrębie powiatu brodzkiego), ale także z dalsza, lecz tam wychowanych i osiadłych. W ramach poszczególnych biogramów wymieniane są również inne osoby – członkowie rodzin, tak iż w sumie liczba osób uwzględnionych w zeszycie sporo przekracza liczbę haseł. Ważne, iż zawsze podaje się powojenne losy osób, ich *miejsca postoju*, dokonania i sukcesy, a także potomstwo.

Słownik brodzki to kolejny, ważny dla nas dokument – po słownikach J. Janickiego, książkach *gdańskiej i krakowskiej* o Politechnice Lwowskiej, słowniku *lubelskim* i *gliwickim*, i zapewne jeszcze paru innych, które do nas nie dotarły.

📖 Nowe książki, o których wiemy, ale jeszcze do nas nie dotarły:

■ **Jan Kanas, *Podolskie korzenie*** (wyd. „Nortbertinum”, Lublin 2000). Autor pochodzi z rodziny chłopskiej ze wsi Łozowa w woj. tarnopolskim. Opowiada o tragicznych wydarzeniach z grudnia 1944 r., kiedy Ukraińcy dokonali rzezi, mordując 106 osób. Autor podaje własne wspomnienia i relacje innych osób.

■ **Zbigniew Teplicki, *Fatum Wschodnich Kresów*** (wyd. „Bellona”, Warszawa 2002). Opowieść o wsi Radwanów k. Podkamina, o jej mieszkańcach (wraz ze słownikiem wyrazów gwarowych i zapożyczonych), a przede wszystkim o rzezi ukraińskiej w lutym 1944 r. Załączony zbiór dokumentów.

Nowe wydawnictwa „Nortom”, Wrocław:

■ **Edward Prus, *SS-Galizien. Patrioci czy zbrodniarze?***

■ **Witalij Masłowski, *Z kim i przeciw komu walczyli nacjonałiści ukraińscy w latach II wojny światowej.***

■ **Stanisław Jastrzębski, *Kresy Wschodnie we krwi. Rzecz o polskiej samoobronie.***

Aldona Duch, Marta Walczewska

Nauczyciele dla nauczycieli

Kwartalnik „Głos Nauczyciela” ukazuje się we Lwowie od 1999 roku dzięki pomocy Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Jest przeznaczony dla nauczycieli polskich placówek oświatowych, a są to zarówno szkoły ogólnokształcące z polskim językiem nauczania, polskie szkoły sobotnio-niedzielne, placówki oświatowe przy parafiach i fakultety języka polskiego w szkołach ukraińskich. Kwartalnik służy fachową pomocą rzeczową, metodyczną i prawną, zachęcając zarazem do nadsyłania uwag, życzeń oraz relacji o własnych doświadczeniach, aby w ten sposób służyć potrzebom polskiej kadry pedagogicznej w państwie ukraińskim. Warto więc poinformować naszych Czytelników o tym ciekawym i wartościowym wydawnictwie. Jego redaktorami są Adam Chłopek i Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz.

Treść „Głosu Nauczyciela” to wiele rozdziałów. Pierwszy zawiera przeważnie teksty Ojca Świętego Jana Pawła II z elementami nauczania, wypowiedzi ks. kardynała M. Jaworskiego lub innych duchownych. Następny rozdział to zagadnienia edukacyjne – przykładowo: historyczne opracowanie tematu: co to jest edukacja narodowa, jej zależność od aktualnych orientacji i działaczy, którzy mieli i mają wpływ na praktyczne, państwowe, narodowe i religijne cele edukacji narodowej.

Kolejny rozdział zawiera wartościowe inicjatywy. Aby spełniały się oczekiwania wobec nauczycieli uczących języka polskiego, a z drugiej strony by zasługiwali oni na poważanie swoich uczniów, opisywane są doświadczenia nauczycieli naszej mowy w innych krajach. Przykładem Australia, gdzie polscy nauczyciele w sposób nie narzucający, ale uwzględniający potrzeby i zainteresowania uczniów, uzyskali doskonałe efekty. Rozdział *Nauczanie* w każdym numerze podaje omówienia coraz to innej dziedziny wiedzy: polskiej historii, literatury, geografii, ważnych rocznic (np. 60. rocz-

nicy zbrodni katyńskiej), językoznawstwa, muzyki itd. Najczęściej opisywane są wydarzenia historyczne pod nazwą: *Wszystko o Polsce*.

W rozdziale zatytułowanym *Sylwetki* drukowane są dane o wybitnych postaciach: F. Chopinie, J. Słowackim, K. Wierzyńskim, S. Goszczyńskim, Cz. Miłoszu, ks. H. Mosingu. Opisane rozdziały zapewniają nauczycielom szczegółowe dane z historii Polski i jej kultury, informują o obecnym stosunku do tego, co się działo w przeszłości i co posiada szczególną wartość. Część metodyczna „Głosu Nauczyciela”, to scenariusze wybranych lekcji, konspekty, testy, informacje o kursach metodycznych, o wynikach konkursów.

Wszystkie teksty promieniują patriotyzmem, służą temu, by lekcje polskiego i innych przedmiotów były na dobrym poziomie, by zapewniały skuteczne opanowanie ojczystego języka oraz poznania ponad tysiącletniej historii i kultury Ojczyzny wszystkich Polaków.

Irena Suchanek

Wertując wydawnictwa

➔ Z wielkim zainteresowaniem (i nadzieją) nabyliśmy książkę zatytułowaną **Święci, Błogosławieni, Świadkowie Wiary archidiecezji przemyskiej**, która powstała jako pokłosie sesji naukowej w Krośnie z września ub. roku (wyd. Muzeum Rzemiosła w Kronie, 2001). Pamiętamy wszak, że diecezja przemyska (jeszcze nie archidiecezja, która powstała w ramach reformy terytorialnej Kościoła w RP przed paroma laty) sięgała do II wojny daleko w głąb Małopolski Wschodniej (w ramach oczywiście metropolii lwowskiej). Należały więc do niej też bliskie Przemyślowi Mościska, Sambor, Dobromil i Chyrów, aż po Drohobycz oraz wiele innych ważnych miejscowości zabranej przez sowietów części Podkarpacia. Po odtworzeniu struktur Kościoła lwowskiego po latach komunizmu w 1991 r. obszar ten przypisano do archidiecezji lwowskiej.

Ale historia tamtej Ziemi, zwanej wszak Przemyską, związana jest z Przemyślem. Czytając więc tytuł owej książki, mieliśmy prawo przypuszczać, że autorzy (i decydenci!) uwzględnią godne postacie także tam-

tej, niedawno wszak odciętej części historycznej diecezji. Srodze się zawiedliśmy. Zadziałała zapewne małaostkowa *poprawność polityczna*, ważniejsza, widać niż historia i tradycja, na którą chętnie się niektórzy (kiedy indziej) powołują.

Owszem, w książce wśród 16 biogramów znajdujemy kilka postaci, które ze Lwowem i z tamtą Ziemią związane są nierozdzielnie, jednak w książce znalazły się tylko z tytułu swego urodzenia po tej stronie jałtańskiej granicy! Na pierwszym miejscu jest to św. Jan z Dukli, patron Lwowa; bł. Zygmunt Gorazdowski, lwowski „ksiądz dziadów” i założyciel ss. Józefitek; sługa Boży Wojciech Baudiss (1842–1926), jezuita, *reanimator* greckokatolickiego zakonu Bazylianów; służebnica Boża s. Marcjanna – Maria Antonina Mirska (1822–1905), założycielka zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej we Lwowie; a także św. Andrzej Bobola, złączony najbardziej z Wilnem i Polesiem.

Związki ze Lwowem, choć nie w skali całego życia miał również bł. Michał Czartoryski (1897–1944), dominikanin, wcześniej absolwent Politechniki Lwowskiej (architekt), współzałożyciel „Odrodzenia” we Lwowie.

Cóż, pozostaje nam czekać na analogiczne omówienie świętych, błogosławionych i już wcześniej znanych świadków wiary naszego Kościoła, wywodzących się z dzisiejszego terytorium archidiecezji lwowskiej. Oby taka praca powstała jak najszybciej. W dalszej kolejności powstanie zapewne kolejna dokumentacja współczesnych nam postaci, godnych potraktowania jako świadków wiary. Znajdzie się w niej na pewno niejedno nazwisko z listy, którą opracował ks. M. Skowyrą, a którą przedstawiliśmy w CL 2/02, jak również spośród całej rzeszy cywilnych męczenników wiary w sposób szczególny związanych na tamtej Ziemi z polskością.

Na marginesie: Istnieją pewne nieprzekraczalne granice niechlujstwa. Oto w artykule o św. Janie z Dukli znajdujemy listę miejscowości w państwie ukraińskim, w tym w archidiecezji lwowskiej. Jakież tam nazwy znajdujemy? Korona wszystkiego to *Jazliwec* – sanktuarium wszak o znaczeniu ogólnopolskim; *Borszcziv* (tak, przez „v”), *Mostyska*, *Iwano-Frankiwsk*, *Kamianka-Buśka*, ale zarazem właściwie napisano *Sądowa Wiśnia* czy *Nowe Miasto*. W innych miejscach wszystkie nazwy są prawidłowo pisane. Zabawne.

➔ **Z okazji 63. rocznicy napaści Związku Sowieckiego na Polskę** niezawodny krakowski „Dziennik Polski” – niezależnie od stosownych artykułów – zamieścił w nrze 217/02 aż trzy pierwsze strony gazet lwowskich z tamtego czasu: „Dziennika Polskiego” z 19 IX 1939 (wtorek), „Ilustrowanego Gońca Wieczornego” z 20 IX (środa) oraz „Wieku Nowego” z 21 IX (czwartek). Wojska sowieckie wkroczyły do Lwowa w piątek 22 września po południu, w szóstym dniu po wtargnięciu w granice Polski. Wyczerpujące wyjaśnienia podał w krakowskiej gazecie w artykule *Nóż w plecy* Sylwester Dziki.

Patrz także *W Krakowie i dalej*.

➔ W „Gazecie Wyborczej” 144/02 znalazła się kilometrowa **rozmowa z premierem L. Millerem**, przeprowadzona przez A. Michnika i Pawła Smoleńskiego (Ukrainiec? Jego tematy to prawie wyłącznie Polska-Ukraina, z wyraźną skłonnością do tej drugiej). Wśród wielu dotykanych zagadnień (polityka wewnętrzna i międzynarodowa, gospodarka i pieniądze. Taka forma nacisku na władzę?) nie zabrakło tematu ukraińskiego, i to dwukrotnie.

Najpierw mówiono o wielkiej polityce. Wypowiedzi Millera i (jak się domyślamy – Michnika) nie wzbudziły naszych zastrzeżeń. Miller satysfakcjonująco dla nas wypowiedział się o aferze wokół Cmentarza Orłąt. Zauważył, że *władze ukraińskie nie doceniły znaczenia cmentarza dla Polaków. Kuczma mógł w tej sprawie stanowczo zareagować. Nie zrobił tego*. Obaj (Miller i jego rozmówca) ocenili państwo ukraińskie jako *kraj skorumpowany i niewydolny*, a zastanawiając się nad przyszłością Ukrainy uznali, że odwracanie się od niej plecami oznaczałoby *definitywne odejście Ukrainy na Wschód, to można w jakimś stopniu obserwować i dziś – zbudowanie na Bugu nowej żelaznej kurtyny [...]. Zrobiliśmy wszystko. To sami Ukraińcy nie zrobili wszystkiego*.

Potem poruszono inny temat – tu podejrzewamy inicjatywę Smoleńskiego – oczywiście akcję „Wisła”. Mimo pokrętnych nacisków rozmówcy (mówi o *polskiej fobii antyukraińskiej*) Miller zauważa: *Ale wtedy, być może, państwo polskie nie miało innego wyjścia. [...] powinniśmy pamiętać o tamtym kontekście, o polsko-ukraińskim pograniczu, które spłynęło krwią*.

Żadna strona oczywiście nie zająknęła się o rzeziach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Ale i tak bądźmy zadowoleni, że to nie strona „Gazety Wyborczej” nami rządzi.

➔ Trzeba dopiero szczególnych czynników z zewnątrz, by w polskich mediach pojawiły się słowa prawdy o państwie, o którym – wbrew faktom – należy pisać i mówić tylko dobrze, bo tego rzekomo wymaga nasz państwowy interes. Nie najlepsza to praktyka, bo przynosi na ogół odwrotne skutki (gdy się konfrontuje teorię z praktyką), tak jednak kiedyś ustalili politycy formacji, która co prawda zesłała już ze sceny, ale jeszcze tu i ówdzie próbuje się przypominać PT Publiczności. Żaloszny tego przykład mieliśmy ostatnio okazję zauważyć w sprawie Cmentarza Orłąt.

Kubek zimnej wody zawdzięczamy **koszmarnej katastrofie na lwowskim Skniłowie**. Skrajna niekompetecja i nieodpowiedzialność indywidualistów – dla których ważniejsza jest różnka o szczegóły na Cmentarzu Orłąt niż zadbanie o uporządkowanie życia w nieszczęśliwym mieście – doprowadziła do śmierci prawie setki Bogu ducha winnych ludzi i dzieci. I dopiero teraz w naszej prasie zaczęły pojawiać się głosy smutnej prawdy...

Innym czynnikiem zewnętrznym była niedawna wizyta po tamtej stronie polskiego dziennikarza żyjącego za granicą, a więc niezależnego i na tyle poważnego, że nawet „Gazeta Wyborcza” (VII 02) poczuła się zmuszona do opublikowania jego trzeźwych uwag. Leopold Unger napisał to, co myślimy wszyscy, próżno jednak było dotąd znaleźć w naszej prasie podobne słowa prawdy:

[...] *Ale dobre chęci nie wystarczą. Warszawa nie powinna się śpieszyć. Dopóki Polak albo inny obywatel unijny podróżujący samochodem lub autobusem narażony będzie na:*

– *wielogodzinne oczekiwanie spowodowane sztucznym ściskiem i złą wolą szanowanych,*

– *haniebny „show” polegający na podziale ról między nierobami ubranymi w uniformy pograniczników i celników ukraińskich przekazujących sobie bezbronne ofiary, wymagających nieistniejących papierków, oddalających się na oczach wymęczonych podróżnych w celu odzyskania ce-*

remonii picia herbaty, wymiany dowcipów w gronie własnym lub oglądaniu futbolu w Japonii (90 minut),

– *dopóki pasażer będzie musiał dokładanie, co do kilometra, obliczyć przy wjeździe i respektować długość swojej trasy po kosztownych szosach (?) Ukrainy,*

– *dopóki wszelkie próby przyśpieszenia procedury uznawane będą za „nadmierną nerwowość pasażera” i „przejaw złego wychowania”,*

– *dopóki wszystkie niestychanie ważne przeszkody w cywilizowanym przekroczeniu granicy zniknąć będą nagle na widok magicznego „zielonego” z widoczną cyfrą 20, a w specjalnych okolicznościach 50,*

... *dopóty żadnych ulg ani ułatwień Polska Ukrainie przyznawać nie powinna. Wjazd na Ukrainę powinien być, tak jak chce prezydent Kuczma, wjazdem na teren Europy. Na razie zapowiada Azję.*

➔ We „Wprost” 21/02 (maj) ukazał się jeden z wielu artykułów w sprawie wiadomej – o Cmentarzu Orłąt (autor J. Urbanowicz). Zainteresowała nas wypowiedź jednego z jego rozmówców we Lwowie, który zadaje retoryczne pytanie: *Mamy się utożsamiać z Kozakami, których celem było zabijanie unitów, czyli nas, Galicjan?*

Pomińmy fakt, iż ów rozmówca wspominał akurat tylko unitów (taki swego rodzaju obiektywizm). Co jednak ciekawe, że **ujawnia się separatystyczna tendencja** ze strony tzw. Zachodniej Ukrainy, o czym ostatnio dużo się mówi i pisze. Tak niedawno właśnie ze Lwowa wychodziły panukraińskie manifestacje, przenoszone do Kijowa, a Kozactwo traktowano jako symbol. I odmieniło się (to oczywiście nasz komentarz). Dalej pisze autor artykułu:

[...] *Zdaniem „galicyjskich separatystów” we Lwowie nastroje nacjonalistyczne to zjawisko marginalne, a coraz bardziej odradza się prawdziwa, wielokulturowa „burżuazyjna” tożsamość miasta. Mają nadzieję, że Polska będzie w tym pomagać. [...] Jeśli ukraińskie media nadają pod dyktando władz, to dla czego we Lwowie, do którego Polacy są tak przywiązani, nie można kupić albo przeczytać w czytelni choćby jednej polskiej gazety?*

Święte słowa, tylko niechby te polskie gazety zachowały godność, gdyby miały tam

być czytane. A to cienka sprawa, do której nasze media i nasi publicyści jeszcze nie dorastają.

➔ W ślad za II wydaniem książki prof. Jerzego Kowalczyka pt. *100-lecie geofizyki polskiej* (którą omawialiśmy w CL 3/02), ukazał się do niej *Suplement* (wyd. „Arbor”, Kraków 2001), w którym autor rozbudował materiał zawarty w książce właściwej. Suplement ten przynosi dużo materiału, który nas interesuje szczególnie – przede wszystkim liczne **biogramy lwowskich geofizyków**, a także informacje o Politechnice Lwowskiej, o obserwatoriach, o stacjach seismologicznych, klimatologicznych itd.

Tu warto wymienić bodaj dwie postacie i ich dokonania, dotąd całkiem nam nie znane:

■ **Tadeusz Czacki** (1765–1813), znakomity działacz gospodarczy i oświatowy, założyciel słynnego Liceum Krzemienieckiego (patrz CL S/2000). Należy mu się chwala i za to, że podejmował poważne rozważania na temat możliwości uregulowania rzek w celu uczynienia ich spławnymi – przede wszystkim Dniestru. Doprowadził do wykonania jego szczegółowej mapy hydrograficznej.

■ **Dominik Brożek** (1832–89), geodeta, dzięki jego staraniom utworzono obserwatorium astronomiczne przy Akademii Technicznej we Lwowie oraz wykonano ścisłą niwelację miasta.

➔ Z przyjemnością i satysfakcją przeczytaliśmy w krakowskim „Dzienniku Polskim” artykuł M. Syrdy-Śliwy o **ks. Andrzeju Ramisie** (*25 kilometrów do szansy*, nr 179/02), do niedawna proboszczu w Strzelczyskach.

O dramatycznym wyjeździe ks. Andrzeja z tej jedynej całkowicie niemal polskiej wsi koło Mościsk pisaliśmy w CL 3/01 (*Słowo od Redakcji*). Na zawsze pozostał żal, bo to człowiek, który wiele zdziałał dla swych wiernych i za to był przez nich szanowany i kochany.

Autorka artykułu przedstawia życie mieszkańców Strzelczysk, ich biedę i twardą postawę. Przypomina dokonania Księdza: zbudowanie kościoła i stolarni w Strzelczyskach, kościoła i domu sióstr w Krysowicach, odbudowę kościółka w Lipnikach, a wreszcie doprowadzenie do bu-

dowy szkoły, przez wiele lat torpedowanej przez administrację.

Ks. Andrzej jest teraz w Chorzelowie k. Tarnobrzega, ale często bywa w Strzelczyskach i dalej pomaga. Jakże takiego nie kochać?

➔ W „Rzeczypospolitej” 196/02 natrafiliśmy na taki **list do redakcji – z Poznania** (cytuujemy początek):

Rozważania rzecznika praw obywatelskich „Zabawa z zabużanami” („Rz” 175, 29.07.2002 r.) [niestety nie czytaliśmy – przyp. red. CL] sprowokowały mnie do zabrania głosu w sprawie tej „zabawy”. Miałem sąsiada z za Buga, który kiedyś w przepływie szczerości objaśnił mi, w jaki sposób on i jego rodzina doszli do znacznego majątku w zamian za mienie „zabużańskie”. Uzyskał działki budowlane w Koninie, Poznaniu oraz poniemieckie domy w Gorzowie Wlkp. i Szczecinie. Za co? Za drewnianą chałupę na peryferiach kresowego miasteczka, składającą się z pokoju, kuchni i stryżku, w której gnieździło się siedem osób, żadna nie miała własnego łóżka, woda ze studni ulicznej, sławojka. Sąsiad w skrócie przedstawił mi mechanizm starań odszkodowawczych: „Papier jest cierpliwy, ołówek długi i wszędzie są swojacy, którzy potwierdzą stan pozostawionego majątku, zgodnie z życzeniem”. Rozmowa ta miała miejsce na początku 1975 roku. Nie zazdroszczę zabużanom odszkodowań, które w różnej postaci otrzymują od 1945 roku, tyle tylko że opisany przypadek nie jest zbytnio odosobniony. [...]

No cóż, kombinatorzy i kanciarze. trafiają się wszędzie, też wśród zabużan, a nawet poznaniaków. To brzydko jednak wysyłać do prasy *donos*, kiedy ogromna większość ekspatriantów, oszukanych przez państwo polskie (nie tylko PRL) walczy o to, by dostać cokolwiek za stracone mienie w swojej dawnej małej ojczyźnie. A przecież Polska jako państwo ekwiwalent za utraconą połowę kraju otrzymała. Warto też pamiętać, że nieruchomości na ziemiach zachodnich i północnych dostali nie tylko zabużanie, zapewne także niektórzy poznaniacy. Pan się nie załapał, stąd ta gorycz.

Zdziwiło nas tylko, że zapamiętał pan niemal datę owej rozmowy. Cóż za pamięć, po 27 latach!

➔ **Zagadkową postacią** jest dla nas Bogumiła Berdychowska, która działała już w wielu różnych miejscach na niwie *pojednania polsko-ukraińskiego* (pojednania za wszelką cenę – z naszej strony oczywiście), ostatnio była zastępcą redaktora naczelnego Programu dla Zagranicy w Radiu Polonia. Z tego właśnie stanowiska została ostatnio zwolniona, podobno w ramach reorganizacji, której jednym z objawów jest jakoby likwidacja audycji we wszystkich trzech językach ruskich, litewskim oraz czeskim i słowackim, na rzecz – podobno uprzywilejowanych – języków zachodnich.

W obronie B. Berdychowskiej wystąpiło zaraz, oczywiście w „Gazecie Wyborczej”, kilku panów z J. Kuroniem i J. Pomianowskim na czele, co jeszcze bardziej ochłodziło nasz stosunek do niej. Zarzucono zarządowi PR, że reorganizacja i zwolnienie pani BB są szkodliwe dla promowania Polski na Wschodzie i przedstawiania polskiego punktu widzenia obywatelom naszych wschodnich i południowych sąsiadów. Nie wiemy, czy kto słuchał tych audycji, natomiast nie rozumiemy dlaczego odezwę wymienionych panów zatytułowano: *Niech Polskie Radio pamięta o Polonii na Wschodzie*. Przecież to nie były audycje dla *Polonii*, bo do Polaków mówi się i pisze p o p o l s k u . A więc pomyłka w sformułowaniu, czy nowy przekręt, żeby nam rzecz przedstawić sentymentalnie? Bo o troskę o Polaków na Wschodzie ze strony Kuronia i innych podpisanych panów nie podejrzewamy.

➔ Wielokrotnie przez nas cytowany *Biuletyn Stowarzyszenia Wspólnota Polska* zmienił swoją nazwę, format i częstotliwość ukazowania się. Nazywa się teraz po prostu „**Wspólnota Polska**” z dopiskiem: *Kwartalnik poświęcony Polonii i Polakom za granicą*. Ma format taki jak CL (przedtem A4) i podobną liczbę stron. Dopiero ostatnio ukazał się nr 1/2002. Przeczytaliśmy w nim m.in. treść uchwały Senatu RP z dn. 21 VI 2002 w sprawie utworzenia Polonijnej Rady Konsultacyjnej przy urzędzie Marszałka Senatu. Ucieszyło nas, że członkowie Rady będą pełnić swoje obowiązki h o n o r o w o ! Z innych ciekawych dla nas tematów, to *Spór wokół Cmentarza Orłąt* – szczegółowe kalendarium; *IV Forum Oświaty Polonijnej* w Krakowie (piszemy o tym w ru-

bryce *Polacy z Polakami*); o Dniach St. Vincenza w Kołomyi, o Mościskach i Nadwórnej; a także ważny tekst: *Rezolucja w sprawie języka polskiego jako regionalnego na Wileńszczyźnie*. Do tego ostatniego tematu wrócimy.

➔ Tegoroczny przełom wiosny i lata zdominowany był przez *Mundial 2002*, także w publicystyce, niekoniecznie sportowej. W „Polityce” 25/02 Ryszard Marek Groński (podobno lwowianin z urodzenia, ale mało po nim poznać) przytoczył wierszyk zaczerpnięty z tekstów rewii pt. *Łątki lwowskie* z 1924 r., napisanej **przez M. Hemara i czterech innych autorów**, gdzie mowa jest także o sukcesach futbolu z Ameryki Południowej:

Czemu jest Urugwaj mistrzem wszystkich drużyn?

Dlatego, że gra w nim dziś niejednen Murzyn!

A stąd znów tę prawdę największą znajdziecie,

Że „Czarni” grają najlepiej na świecie.

➔ 24 września o godz. 14. w programie I TVP pokazano wstrząsający **film Dariusza Walusiaka** z Krakowa pt. *Tak się żyje we Lwowie* (2002).

Antypody

➔ W „Rzeczypospolitej” 144/02 artykuł Zdzisława Krasnodębskiego *Polskie milczenie* dotyczy **kwestii wypędzonych** oraz ideowo-politycznych i moralnych problemów, jakie na tej bazie wyrastają. Mowa o relacjach Niemcy–Czechy (wypędzenie Niemców sudeckich przez Benesa) i Niemcy–Polska (ziomkowania i proponowane powołanie *Centrum Wypędzonych* we Wrocławiu). W artykule ani słowa o wypędzeniu Polaków z Ziemi Wschodnich (autor – socjolog i filozof, jest profesorem uniwersytetu w Bremie).

Sprawa wypędzenia i wypędzonych – mimo upływu lat (już sporo ponad pół wieku) – jest w Niemczech coraz bardziej żywa, mimo iż nigdy nie stanowiła tam tematu *tabu*. Jakże kontrastuje to z postawami części polskich polityków i publicystów typu Bohdana Cywińskiego (patrz CL 1/02 *Nieporozumienie*), gdzie problem Kresów – szero-

ko rozumiany, głównie wszak w kontekście wypędzenia – nie istnieje, nie wart jest rozpatrywania. Warto tu zacytować *passus* ze wspomnianego artykułu:

Ogólnie rzecz biorąc Republika Federalna Niemiec zmierzała przez ostatnie 12 lat w odwrotnym kierunku niż Polska. Gdy w Polsce słabły narodowe uczucia, w Niemczech się wzmacniały. Gdy w Polsce dokonywano krytycznej rewizji historii, w Niemczech pojawiła się wyraźna tendencja, aby widzieć w niej rzeczy pozytywne. W ubiegłym roku czołowy niemiecki intelektualista i redaktor naczelny „Merkur” Karl-Heinz Bohrer wzywał w liberalno-lewicowej gazecie „Frankfurter Rundschau” do odbudowy świadomości historycznej. Jednym z objawów odzyskiwania pamięci jest dążenie do rewaluacji tradycji pruskiej. Na łamach konserwatywnej „Frankfurter Allgemeine Zeitung” dyskutowano niedawno, czy należy przywrócić nazwę Prusy, a Bohrer („Merkur” z listopada 2001 r.) twierdził, że powrót Niemców do własnej historii musi oznaczać przywrócenie pamięci Prus, bo chodzi o „przypomnienie pruskiego paradygmatu nie jako karykatury, lecz jako normy kulturowej, która miała historyczną wielkość i kształtowała naszą historię.” [...]

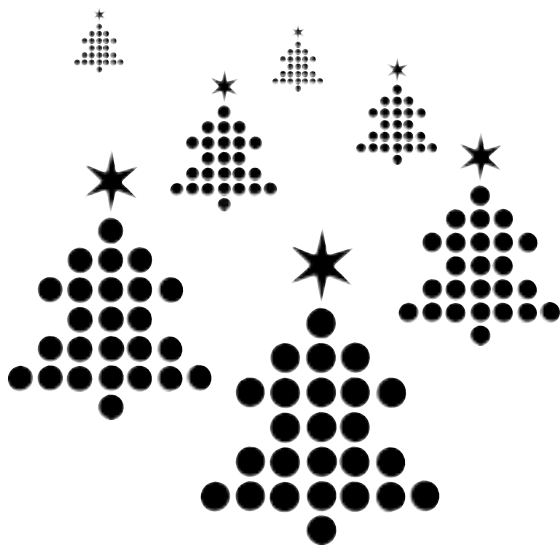
Jeśli wypędzenie jest zawsze zbrodnią, a człowiek ma niepodważalne prawo do swej małej ojczyzny, jeśli nie ma żadnej odpowiedzialności poza odpowiedzialnością jednostki i jeśli na zło nigdy nie można odpowiadać złem, to każdy, kto zgłasza jakiegokolwiek zastrzeżenia wobec stanowiska ziomkostw, gwałci podstawowe wartości. Benesz był Miłoszowcem swoich czasów i powinien post mortem zasiąść obok niego na ławie oskarżonych. Polacy zapewne nie mieliby nic przeciwko temu, aby znalazł się na niej Bierut (którego potępienia domagają się w licznych listach czytelnicy niemieckich gazet, wypowiadający się w sprawie dekretów Benesza), ale inaczej wyobraziłoby sobie akt oskarżenia. Niemcy utożsamiają się przy tym z losem muzułmańskich Bośniaków lub Albańczyków z Kosowa, a nie z Serbami wypędzonymi po przegranej wojnie, agresji i zbrodniach. Wypędzenie Niemców staje się w świadomości zbiorowej najważniejszym – obok holokaustu – aktem destrukcji dawnej wielokulturowości Europy. [...]

➔ W sobotę 15 czerwca, około godz. 16.30 zupełnie przypadkiem usłyszeliśmy fragment dyskusji w radiu na temat sytuacji narodowościowej na Śląsku w latach powojennych, a w szczególności o powodach masowych wyjazdów Ślązaków do Niemiec w kolejnych dekadach. Zaproszeni (o wyraznie śląskim akcencie) opowiadali, że Ślązacy czuli się dyskryminowani nie tylko przez władze, także przez napływową ludność. Wtedy jeden z prowadzących rozmowę zauważył bystrze: *no tak, przez lwowiaków!* Jeden ze Ślązaków odpowiedział: *raczej nie, ja z lwowiakami miałem bardzo dobre stosunki.* Podobnie wypowiedział się słuchacz (też ze śląskim akcentem) przez telefon: *to nie lwowiacy, ich nie było tyłu, żeby zaludnić Wrocław, Opole, Gliwice i wiele innych miast. Oni też bardzo dużo przeżyli na Wschodzie. To byli ci, którzy napłynęli z głębi Polski centralnej...*

Przypomnijmy, że w CL przytaczaliśmy kiedyś opinię ks. biskupa Nossola, który wyraził identyczną opinię o złym traktowaniu Ślązaków nie przez wysiedleńców ze Wschodu, których tam rzucono nie z ich woli, lecz przez elementy z Polski centralnej.

Dodajmy, że wielu z nas ekspatriantów dobrze pamięta nieprzyjazne przyjęcie przez tych samych *rodaków* zasiedziały w Polsce centralnej, Krakowa nie wyłączając. Nieraz traktowano nas jako... Ukraińców.

Maria Klara Bohomolec



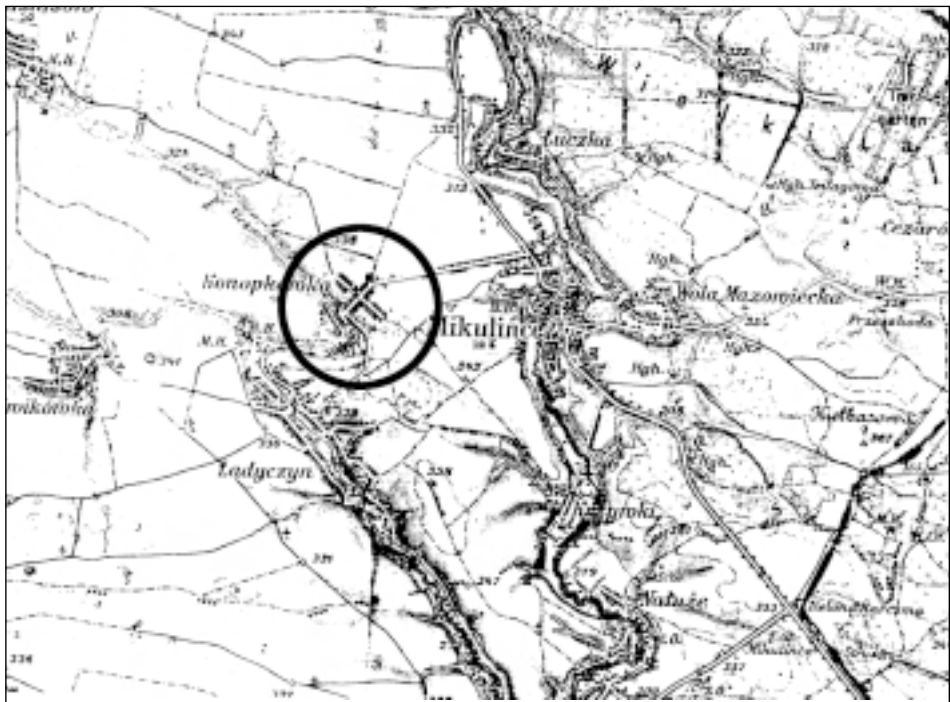
Zapomniany Zdrój *(dokończenie ze s. 4)*

bardzo szerokie zamiary gospodarcze. Dążąc do cywilizacyjnego podniesienia swoich majątności, sprowadził kolonistów niemieckich, przydzielając im działki na założenie gospodarstw sadowo-warzwywnych. Te właśnie gospodarstwa miały dopełniać programu nowej i celowo zaprojektowanej wsi, nazwanej przez naszego pioniera postępu Konopkówką.

To jeszcze nie wszystko. W niewykorzystanym starym zamku mikulinieckim założył Konopka fabrykę sukna, która atoli na skutek trudności transportowych niebawem upadła. Nieco później, wraz z żoną Józefą – z rodziny wschodniomałopolskich hrabiów Miączyńskich – zorganizował warsztaty koronkarskie, których wyroby były w owym czasie popularne na Podolu. Zbudowany w 2. połowie XVIII stulecia pałac w Mikulińcach (niezależny od starego zamku) przebudował, nadając mu styl swojej epoki, empire (jego zdjęcie zamieściliśmy w CL 4/2000, s. 50). W tym samym zresztą stylu, lecz dużo skromniejszym były zaprojektowane budynki uzdrowiskowe.

Zdrowisko Konopkówka – chociaż zamierzenie nie zostało jeszcze w całości zrealizowane – cieszyło się wielkim powodzeniem jako jedyne tego typu na Podolu. W okresie świetności (lata 1830.) zjeżdżało się tu w czasie sezonu 5–6 tysięcy gości. Dokładny opis Konopkówki z tamtych czasów zawiera praca Torosiewicza i dra Mossinga z 1833 r. Wartość uzdrowiska podnosiły walory klimatyczne, przyrodniczo-krajobrazowe, komunikacyjne (blisko Tarnopola). Mikulińce z Konopkówką otaczały lasy, w niedalekiej odległości były Miodobory z koralowymi skałami, jaskiniami i malowniczym przełomem Zbrucza, a także jedyne w Galicji step Pantalicha. Blisko było do zamków w Trembowli, Skalfacie i Grzymałowie.

Niestety w 1889 r. nastąpiła katastrofa: pożar strawił budynki i instalacje. Próbowano uzdrowisko odbudować, podnieść z upadku łaźienki, jednak bezskutecznie. Następcy Jana Konopki nie reprezentowali już tej energii i pomysłowości, a może i zasobów finansowych, co nasz bohater.



Fragment mapy z r. 1913. Po zachodniej stronie Mikuliniec dobrze widoczny plan wsi Konopkówka na dawnym założeniu zdrowiskowego.

W latach międzywojennych próbowano reanimować mikulinieckie źródło, propagowano jego zalety. Jednak siarczane źródło nie było eksploatowane w szerszej skali, nie odbudowano instalacji. Podobno tak samo jest dzisiaj.

* * *

Czy zostało coś z Konopkówki – poza nazwą (lecz tylko do II wojny światowej) i źródłem siarczanym? Tak: założenie urbanistyczne, dobrze widoczne na współczesnych nam mapach – ów krzyżowy plan wyraźnie odróżniający się od naturalnego rysunku okolicznych dróg i zabudowy zachodniego przedmieścia Mikuliniec. Czy zostało w Konopkówce coś ze starej zabudowy epoki Jana Konopki? Nie wiem, nie miałem okazji tam być. A może ktoś z naszych Czytelników, może dawni mieszkańcy tamtych stron coś pamiętają, mają jakieś zdjęcia? Warto

by było uzupełnić ten artykuł, poświęcony niezwyklej postaci i niezwykleму przedsięwzięciu sprzed 180 lat. Trzeba bowiem docenić i Jana Konopkę, i jego Konopkówkę, bo w Polsce nigdy nie powstał podobnie całościowy, przemyślany, funkcjonalny plan wsi-uzdrowiska. A może właśnie te zalety stały się jego klęską?

Mikulińce wraz z Konopkówką przeszły drogą sukcesji do rodziny Reyów i w rękach ich potomków pozostały do II wojny światowej.

Literatura

S.A. Lewicki, M. Orłowicz, T. Praszil, *Przewodnik po zdrojowiskach i miejscowościach klimatycznych Galicji*. Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk, Lwów 1912.

Lustracja województwa ruskiego 1661–1665, cz. III. Ziemia Halicka i Chełmska. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1976.

H. Golejewski, *Pamiętnik*, t. II.

Listy do redakcji



Ucieszył nas list dra Pawła Pencakowskiego, historyka sztuki w Krakowie, syna wspaniałych Lwowian:

Szanowny Panie Redaktorze,

Z myślą o Pańskim kwartalniku napisałem krótkie wspomnienie związane z osobą śp. Prof. Karoliny Lanckorońskiej. Znałem Ją osobiście i należą do osób, które uważają się za szczególnie obdarowane przez los dzięki temu. Dodatkowym motywem była chęć podzielenia się z czytelnikami „Cracovia-Leopolis” ostatnim listem, jaki napisała do mnie Prof. Lanckorońska. Dotyczy on bowiem w całości Lwowa, jest poruszający i wart, jak sądzę, upowszechnienia.

Łączę wyrazy szacunku i podziwu w związku z Pańską i całej Redakcji pracą.

Bardzo dziękujemy – i za wspomnienie i za miłe słowa do nas kierowane. Pański tekst – jakże aktualny – zamieszczamy w tym numerze.

Znowu zawstydził nas dr Tadeusz Kukiz, który pisze do nas z Wrocławia:

W CL 2/02 w dziale Nowe Książki (s. 50, w omówieniu albumu *Cmentarz Obrońców Lwowa* napisano m.in., że jego dwaj autorzy – prof. Tadeusz Łodziana i dr Janusz Smaza – znani są z naszych łamów. Otóż na tychże łamach odnotowany został także autor opracowania graficznego albumu, prof. Leszek Hołdanowicz (CL 4/198, s. 35), pochodzący z Dmytrowa w powiecie radziechowskim, o czym jako dawny radziechowiec z przyjemnością donoszę.

Rzeczywiście! Nazwisko L. Hołdanowicza, art. grafika, autora plakatów, profesora ASP w Warszawie (ur. 1937) znajdujemy w Słowniku pod hasłem „Dmytrów”, opracowanym właśnie przez T. Kukiza. Dziękujemy Panu Doktorowi – chyba najbardziej uważnemu Czytelnikowi CL. Pana Profesora Hołdanowicza przepraszamy.

Pani Henryka Harazda, kierownik Uniwersytetu Trzeciego Wieku we Lwowie, pisze do nas w nawiązaniu do zamieszczonej w CL 2/02 (a wcześniej w „Gazecie Lwowskiej”) liście duchownych z archidiecezji lwowskiej – ofiar II wojny (w szczególności rzezi ukraińskich):

[...] Na zamieszczonej liście nie znalazłam nazwiska ks. Wojciecha Wojciechowskiego –

wikarego kościoła pw. św. Elżbiety we Lwowie, grób którego znajduje się na polu 6 cmentarza Janowskiego we Lwowie, a który zginął, jak głosi napis na tablicy nagrobkowej, 14 IX 1939 w czasie nalotu. Mogę wskazać, gdzie został pochowany. Jeżeli to możliwe, proszę o uzupełnienie ww. listy.

Dziękujemy, Pani Henryko, ale tę wiadomość należy zgłosić przede wszystkim autorowi listy, ks. Marianowi Skowyrze – na miejscu, we Lwowie lub Brzuchowicach. Jego adres był podany w tamtym numerze CL. Do Księdza odesłaliśmy również inne listy przysłane na adres naszej Redakcji.

Na I stronie okładki: centrum Lwowa z lotu ptaka

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS
został wydany przy pomocy finansowej

Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

W następnym numerze:

O Przemysłu i Ziemi Przemyskiej – z Mościskami, Samborem, Drohobyczem i Stryjem ❖ Geografia-historia-zabytki-wielcy Polacy ❖ Rozmowa z M. Olbromskim ❖ K. Grzegocka i A. KostECKa opowiadają ❖ Książki

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637-13-21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, fall@inetia.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

(dokończenie z II strony okładki)

O cóż więc chodzi? Chodzi w pierwszym rzędzie o z e b r a n i e naukowych dowodów o pradziejach Ziemi Czerwieńskiej sprzed najazdu w X wieku. Dowodów tych jest już wystarczająco dużo, są jednak rozproszone i nie eksponowane odpowiednio. Nie sprzyjają ich rozpowszechnianiu obłudne zaloty wobec dzisiejszych posiadaczy tamtej Ziemi, ci zaś – posługując się nienaukowym bluffem – dokonali niezwykłego zamętu (pogratulować!) w umysłach nie tylko polityków i publicystów. Także części historyków, którzy – nie zainteresowani bezpośrednio tematem albo zainteresowani pozamerytorycznie (!) – przyjęli zasłyszane, a nie skontrolowane wiadomości do wierzenia i (czasem bez złej intencji) przekazują je laikom. Dotyczy to niestety także, a może przede wszystkim autorów podręczników szkolnych, którzy własnych badań wszak nie prowadzą. A fałszywe informacje ładują do głów młodzieży.

W naszym piśmie staramy się od pewnego czasu zbierać i publikować (najczęściej przy okazji omawiania nowych książek lub innych publikacji) rozproszone owoce nowych albo reinterpretowanych badań, r e w i d u j ą c y c h zagnieżdżone w umysłach przestarzałe i bezmyślnie powtarzane wywody na temat wczesnośredniowiecznych dziejów ziem zawartych między wschodnimi Karpatami, górnym Bugiem i Sanem. Na temat siedlisk lędziańskich, napływu ludności z Zachodu, Wschodu i Południa, podbojów, szlaków handlowych, gospodarki i kultury – w tym języków i religii, a także ówczesnego prawa i zwyczaju społeczno-politycznego.

Materiałów takich znajdujemy wiele, istnieją one już w obiegu naukowym. Rzecz w tym, że nikomu dotąd nie przyszło do głowy, by je zebrać w logiczną całość, a przecież to dopiero zapewniłoby im wymowę. Któż to więc zrobi? Kto jest w tym zainteresowany? Komu powinno na tym zależeć?

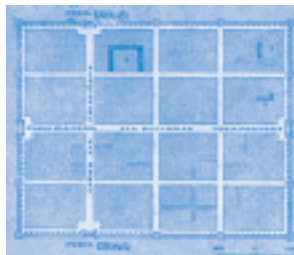
Nie wyczerpaliśmy tu wszystkich podstawowych problemów, które powinny być potraktowane tak, jak na to zasługują. Wrócimy do tego w następnych numerach, wierząc, że umysły światłej części naszego środowiska ulegną wreszcie olśnieniu.

Czego wszystkim życzymy.

Redakcja

Wszystkie nasze miasta o historycznym rodowodzie – od wieków średnich poczynając – były zakładane na tej samej zasadzie i posiadają podobne plany: szachownica ulic, pośrodku kwadratowy rynek z ratuszem, a w narożnym kwartale – kościół parafialny. Taki układ miasta został przyjęty w Polsce z cywilizacji zachodniej (za pośred-

NASZE MIASTA



Od następnego numeru CL będziemy prezentować cykl planów historycznych miast wschodniomałopolskich. Poniżej – tytułem wstępu – przedstawiamy trzy plany: praworzec takiego miasta – rzymski obóz wojskowy, a dalej stare miasto południowo-francuskie Aigues Mortes oraz średniowieczna Warszawa.



nictwem najbliższego sąsiada – Niemiec) i od czasów średniowiecznych świadczy o związku Polski z zachodnią Europą. Szczególnie na naszych ziemiach południowo-wschodnich taki plan miasta oraz gotycki kościół są znakami polskiej kultury, zakorzenionej w kulturze zachodniej.



Słowo od Redakcji
CZAS UCIEKA

Felieton

Barbara Czałczyńska
FELIETON W KOLORACH
CZERWIENI I BRAZU

Andrzej Chlipalski
ZAPOMNIANY ZDRÓJ

Alina Chomicka
ZAWSZE DLA DOBRA CHOREGO

Jerzy Górski
WSPOMNIENIE
O PROFESORZE GORCZYŃSKIM

Michał Jeleń
UCZONY I DOKUMENTATOR ZBRODNI

Rozmowy
Ireneusz Kasprzysiak
ROZMOWA Z MARIĄ TASZYCKĄ

Proza i wiersz
Jerzy Masior
WRAŻLIWOŚĆ
W PARKU STRYJSKIM 2002

Danuta Nespiak
LWÓW I WROCŁAW

Archiwum
ŚWIĘTA KRÓLOWA JADWIGA

Anna Rydlowa
LWOWSKA PREMIERA „WESELA”

Naszym zdaniem
PYTANIA

Archiwum
220 LAT

Paweł Pencakowski
OSTATNI LIST

Wojciech Hausner
ARTUR HAUSNER I RODZINA Z KOŃCZYC

Archiwum
ŁGARSTWO NA KAŻDYM KROKU

Sylwetki

Anna Bidna
BISKUP IN PETTO
KOLEKCJONERKA
TADEUSZ BRZOSOWSKI
PANI EWA

Malwina Piskozub
PSYCHIATRA, KTÓREGO KOCHANO

II Słownik geograficzno-
- historyczny
BEREZÓW ◆ BURKUT ◆ BYSTRZEC
◆ CENIAWA ◆ DZEMBRONIA
◆ D•WINIACZKA ◆ JABŁONÓW KOSMACZ
◆ KRZYWCZE ◆ PISTYŃ ◆ SŁOBODA
1 RUNGURSKA ◆ SZESZORY ◆ WORONIENKA
◆ ZAŁUCZE ◆ ZAMULIŃCE 31

2 Naszym zdaniem

Jan Reiter
5 KTO POMYŚLI PERSPEKTYWICZNIE? 34

Z tamtej strony
Tadeusz Czerny
8 CZY MOŻEMY BYĆ SPOKOJNIEJSI? 35

Eugeniusz Tuzow-Lubański
10 LĘK PRZED POWROTEM 36

12 OŚWIADCZENIE 38

WYDARZENIA 38

Polacy z Polakami
IV FORUM OŚWIATY POLONIJNEJ

Barbara Barta
NAD SUKIELEM, ŚWICĄ I ŁOMNICĄ
DO ZAPAMIĘTANIA 40

19 W Krakowie i dalej
OJCIEC ŚWIĘTY W KRAKOWIE 41

Maria K. Bohomolec
20 WYNIESIENI DO CHWAŁY OŁTARZY 42

Kazimierz Selda
21 CENTRUM WYPĘDZONYCH 43

Marta Walczewska
SOKALSKA PANI BLIŻEJ DOMU 45

22 NOTATKI 47

23 Kultura ◆ Nauka
Elżbieta Mokrzyńska
PAMIĘCI ZBIGNIEWA HERBERTA 48

24 Jadwiga Sibiga
DNI LWOWA W TARNOWIE 48

26 KRONIKA 49

29 Książki ◆ Czasopisma
Aldona Duch, Marta Walczewska

NOWE KSIĄŻKI 51

Irena Suchanek
NAUCZYCIELE DLA NAUCZYCIELI 56

Jarosław Marczuk
32 WERTUJĄC WYDAWNICTWA 56

32 ANTYPODY 60

33 Listy 63